



PIOSENKA W OPOLU KAPRAŁ ZOJA ZŁOTE OBRĄCZKI



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **ŁÓDŹ**

ODGŁOSY

ROK XX NR 29 (1023)
17 LIPCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



KADRY

SZKOŁA DYREKTORÓW

Kwalifikacje kadr to jedno z ważniejszych obecnie zagadnień z kręgu problematyki gospodarczej. Sprawne działanie wszystkich elementów „agregatu” wytwarzającego dochód narodowy wymaga coraz to wyższych kwalifikacji zwłaszcza kadr kierowniczych wyższego szczebla, począwszy od dyrektorów przedsiębiorstw i ich zastępców.

Nie idzie tu bynajmniej tylko o formalne wykształcenie, dokumentowane dyplomem takiej czy innej uczelni; już bowiem ok. 90 procent osób zatrudnionych w gospodarce społecznej na stanowiskach kierowniczych wyższego szczebla posiada właśnie wykształcenie wyższe, a niekiedy nawet tytuły naukowe. Ale przecież to samo w sobie nie wystarcza.

Kierowanie, to praca o charakterze nierutynizowanym, twórczym, wymagająca nie tylko dokładnej znajomości ogólnych założeń aktualnej polityki gospodarczej i własnych zadań, ale przede wszystkim umiejętności organizatorskich szybkiego podejmowania trafnych decyzji, przewidywania „nieprzewidywalnych” sytuacji i wypadków, wreszcie — i to jest chyba najważniejsze — efektywnego a zarazem możliwie bezkolizyjnego wiązania różnych interesów i bezkonfliktowego współdziałania z ludźmi, obojętne — zwierzchnikami czy podwładnymi. Ba, ale gdzie się tego wszystkiego nauczyć?

Są u nas w kraju wyspecjalizowane w tym ośrodki doskonalenia kadr, popularne „szkoły dyrektorów”. Są także i w Łodzi. Odwiedziłem niedawno jedną z nich, mieszczącą się w pięknym nowoczesnym wieżowcu przy ul. Głównej 8 — Ośrodek Doskonalenia Kadr Przemysłu Lekkiego „DOSKO”.

O jego działalności rozmawiałem z jego dyrektorem naczelny dr inż. **TADEUSZEM CZECHOWICZEM:**

— Ośrodek powstał zgodnie z zarządzeniem ministra przemysłu lekkiego 1 stycznia 1973 roku, w wyniku połączenia Ośrodka Szkolenia Zawodowego MPL i Ośrodka Doskonalenia Kadr działającego przy „Ekbrno”. Jest instytucją centralną tego typu. W ramach naszych zadań prowadzimy działalność kursową, mającą na celu podnoszenie kwalifikacji kadr kierowniczej, resortu, objętej obo-

WYBRZEŻE

Wielka wędrówka ludu miała się dopiero zacząć. Jeszcze w pociągach nie było tłoku. Jeszcze można było łatwo dostać bilety na autobusy PKS. Jeszcze w wielkiej hali dworca głównego w Gdańsku było pustawo. Sezon miał się dopiero zacząć, ale o sezonie już myślano. Może jeszcze nie wszyscy, może jeszcze nie ci, których to było obowiązkiem. Ludziom marzyły się już letnie wojaże.

I.
Właśnie w tym czasie, na krótko przed wielkim najazdem na Wybrzeże Gdańskie, znalazłem się w Gdańsku. Po słonecznej niedzielnej wspaniałości patrzyli na siebie badawczo.
— Nie się pani wczoraj nie opaliła — stwierdziła portierka w Instytucie Morskim, witając jedną z pracownic.
— Mam jeszcze czas.
— Nie była pani wczoraj na plaży? — zdziwiła się portierka.
— Nie. Miałam inne sprawy na głowie.
— A gdzie pani jedzie na urlop? — indagowała dalej.
— W góry!

W „Orbisie”, przed kasami na dworcu głównym w Gdańsku kolejki tych, którzy chcą na urlop jechać wygodnie. Rezerwują sobie miejsca sypialne, kuszetki i miejscówki w pociągach, które w lipcu i sierpniu pojedą do Zakopanego, Krakowa, Krynicy, Jeleniej Góry, Kudowy czy Olsztyna. I nie ma w tym nic dziwnego. Morze mają na co dzień. Góry są więc dla nich atrakcją. Tu przyjadą turyści i wczasowicze z głębi Polski, z Mazowsza, Białostockiego, Rzeszowskiego, Krakowskiego, z Górnego i Dolnego Śląska. Przyjadą ci, dla których morze jest atrakcją, przyjadą chłonać jod, opalać się na nadmorskich płaskach i kąpać się w chłodnym, polskim morzu.

W Gdańsku do morza jest daleko. „E-16” z Pruszcza Gdańskiego prowadzi prosto na północ. Wprost nad morze. Ale w okolicy dworca głównego, tuż przed stocznia Gdańską skręca na zachód i biegnie dalej przez Wrzeszcz i Oliwę równoległe do morza. Z Wrzeszcza i Oliwy do morza jest bliżej. W Sopocie zupełnie blisko.

Stojąc na peronie dworca głównego w Gdańsku i patrząc w stronę torów prowadzących do Gdyni, widzi się wielkie dźwigi portowe. Sprawia to złudzenie, że morze jest tuż, tuż, że zaraz za „E-16”, która w tym miejscu nazywa się Błędniakiem i przechodzi w Aleję Zwycięstwa prowadzącą do Wrzeszcza, jest port gdański. Ale to tylko złudzenie, gdyż są to dźwigi stoczni. A stocznia leży nad kolanem Martwej Wisły. Port

W GDAŃSKU DO MORZA DALEKO

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Dalszy ciąg na str. 7

Dalszy ciąg na str. 6

NA MAPIE ŚWIATA

PIĘCDZIESIĄTE AFRYKAŃSKIE

27 czerwca 1977 roku byłe Francuskie Terytorium Afarów i Issów otrzymało niepodległość i stało się Republiką Dżibuti. Nowe, niewielkie państwo Afryki, pięćdziesiąt już, obejmuje obszar wynoszący około 22 tysięcy kilometrów kwadratowych, na którym mieszka około 210 tysięcy ludzi. W dziejach współczesnej Afryki wydarzenie to nie jest najważniejsze, gdyż na południu kontynentu walczą o niepodległość i wolność narody Rodezji, Namibii i Południowej Afryki, a jednak zwróciło ono uwagę światowej opinii publicznej. Dlaczego?

Zdziwienie takim zainteresowaniem może być tym większe, jeśli się zważy, że terytorium Republiki Dżibuti jest pustynne. Na krajobraz tego kraju składają się nagie góry, porośnięte krzakami stepy i słone jeziora. Nie ma tu przemysłu, rolnictwa, a ludność koczującą zajmuje się wypasaniem — jak się szacuje — 20 tysięcy wielbłądów, 80 tysięcy owiec i 20 tysięcy kóz. Jedną linią kolejową łączy Addis Abebę — stolicę sąsiedniej Etiopii — z miastem i portem Dżibuti, stolicą Republiki Dżibuti.

Republikę Dżibuti zamieszkują Afarowie — spokrewnieni z Danakilami, zamieszkującymi sąsiednią Etiopię i Issowie, należący do somalijskiej grupy etnicznej. Afarowie stanowią około 40 procent ludności Republiki Dżibuti, Issowie — około 30 procent, natomiast reszta ludności, to Europejczycy, Arabowie i Azjaci. Terytorium Afarów i Issów, zwane też dawniej Francuskim Somali, znajdowało się pod panowaniem Francji przez 115 lat. W 1967 roku w Somali Francuskim przeprowadzono referendum, w którym zdecydowano, że utrzymane nadal będą kontakty z Francją. Wtedy to Somali Francuskie stało się Francuskim Terytorium Afarów i Issów i otrzymało autonomię wewnętrzną, kwestionowaną zresztą, jak wynikało z referendum, przez ruch niepodległościowy.

Powstanie Republiki Dżibuti Francuzi przyjęli z mieszanymi

uczuciami. Przeciwnego Francuza rezygnacja z ostatniego skrawka byłego imperium kolonialnego mało obeszła. Ale prasa francuska fakt ten nie omyślała odnotować. „Le Quotidien de Paris” pisał przy tej okazji.

„Francja nigdy właściwie nie lubiła Dżibuti. Ten kraj pozbawiony ropy, diamentów i niklu nie był dla nas zbyt atrakcyjny. Po prostu przypadek zrzucił, że jest on usytuowany przy wejściu na Morze Czerwone, na szlaku nafty, która należy do innych. Francja pozostawia po sobie nowoczesne ośrodki medyczne, wiele kilometrów asfaltowych dróg i kilkadziesiąt maturzystów. To wszystko. Róg Afryki nigdy nie był francuski.”

Komentator „Aurore” nie omyślał przy tym dodać:

„Niczym po balu karnawałowym Francja strząsnęła ze swej szaty ostatnie konfetti imperium. Nie ma już na świecie ani jednego terytorium, gdzie byłibyśmy obecni wbrew woli mieszkańców. Napisałbym słowo „koniec” pod ostatnim rozdziałem historii pełnej krwi, chwały i błędów... Jutro Afarowie będą mogli spokojnie rzucić się na Issów, a ci z kolei wezmą się za bary z Afarami. Nie będzie to piękne widowisko, ale nie będzie ono już nas obchodzić.”

Po Francuzach w Republice Dżibuti pozostają jednak nie tylko drogi asfaltowe, kilku-

dziesiąt maturzystów i ośrodków medycznych. Pozostaje coś więcej. Pozostaje konflikt plemienny między Afarami i Issami. Francuzi rządzą w swoim zamorskim terytorium w myśl starej zasady: dziel i rządź. Faworyzowali Afarów, dopuszczając ich do administracji i autonomicznego życia politycznego, izolowali i odsuwali od wszelkich wpływów Issów. Ale nie zyskali tym przychylności Afarów. Nienawiść do Francuzów była silna u jednych i drugich. A ta nienawiść mieszała się w dodatku z wzajemną nienawiścią jednych i drugich. Krew lała się obficie, a żandarmeria francuska niemal każdego dnia znajdowała trupy.

Republikę Dżibuti od północy, zachodu i częściowo południa otacza Etiopia. Na południowym wschodzie, na niewielkim obszarze Republiki Dżibuti graniczy z Somalią. Oba te państwa uważają, że terytorium Dżibuti do nich powinno należeć. Do Etiopii nie tylko dlatego, że w większości mieszkają tam Afarowie, ale i dlatego, że port Dżibuti i linia kolejowa do tego portu biegnąca z Addis Abeby mają żywotne znaczenie dla etiopskiej gospodarki. Somalia natomiast kieruje się głównie czynnikami narodowościowymi, choć i względy polityczne nie są tu bez znaczenia. W Somali ma swoją siedzibę Front Wyzwolenia Wybrzeża Somali, kierowany i wspomagany przez rząd Somali. Oddziały partyzanckie Frontu Wyzwolenia Wybrzeża Somali (FLCS) sieją niepokój i zamieszanie wśród ludności Republiki Dżibuti, uciekając się nie raz do aktów terroru. Ataki oddziałów FLCS skierowane też były przeciwko Francuzom.

Republika Dżibuti leży u wejścia na Morze Czerwone, nad cieśniną Bab el Mandeb, będąc przez to ważnym punktem strategicznym. Jeszcze w kwietniu 1977 roku w dawnym Francuskim Terytorium Afarów

i Issów stacjonowało 6 tysięcy francuskich żołnierzy, a w tym 1200 żołnierzy Legii Cudzoziemskiej. Prezydent Republiki Dżibuti — Mohamed Gulela oświadczył jordańskiemu dziennikowi „Al Achbar”:

„W Dżibuti nie ma miejsca dla żadnych zagranicznych baz, Francuzi pozostaną w Dżibuti dopóki nie wyślą naszej armii, a potem natychmiast opuszczą nasz kraj.”

Dżibuti jest ważnym punktem strategicznym dlatego, że z terytorium tego państwa można kontrolować szlaki morskie prowadzące przez Kanał Sueski do Morza Śródziemnego i przez Morze Czerwone na Ocean Indyjski. A jest to przecież szlak naftowy. Niezwykle ważny dla uprzemysłowionej Europy. Wysztafować przypomnieć sobie, co się działo, kiedy Kanał Sueski został na długi czas zablokowany.

W tym rejonie, zwanym „Rogiem Afryki” kotłuje się od dawna. Etiopia obawia się sojuszu trzech otaczających ten kraj państw: Sudanu, Kenii i Somali. Somalia, w terytorium której kinem wbiła się obszar Etiopii, zgłasza pretensje do poważnej części terytorium Etiopii. Etiopia natomiast, pozbawiona przez erytrejską secesję dostępu do portów w północnej części swego terytorium, bardzo jest zainteresowana wolnym dostępem do portu w Dżibuti, będącego dla niej obecnie ważnym „oknem na świat”. Odcienie tego dostępu oznaczałoby dla Etiopii wielką tragedię. A Somalia dysponuje dobrze wyszkoloną i uzbrojoną armią. Ale ostatnio doszło do granicznych konfliktów między Kenią a Somalią, którymi Somalia próbowała zainteresować obradującą niedawno konferencję ministrów Organizacji Jedności Afrykańskiej. Kenia natomiast usiłowała zrzucić odpowiedzialność za te incydenty na... Etiopię.

Do gry w „Rogu Afryki” włączyła się też Arabia Saudyjska, która dysponując milionami dolarów, gotowa jest pośpieszyć z pomocą każdemu państwu, jeśli można byłoby je w ten sposób zawrócić z drogi postępu. Arabia Saudyjska zaferowała swą pomoc zarówno Somali, jak i Republice Dżibuti. Somalia — jak na razie — odnosi się do tej oferty z rezerwą. Dla biednej Republiki Dżibuti oferta Arabii Saudyjskiej może jednak okazać się atrakcyjną. A Dżibuti leży na ważnym szlaku nafto-

wym i z jej terytorium można ten szlak z powodzeniem kontrolować.

„Do narodu Dżibuti należyć będzie decyzja o własnej przyszłości — powiedział amerykańskiemu dziennikarzowi, Arnaudowi de Borchgrave prezydent Somali, Syjad Barre. — Zaakceptujemy cokolwiek ten naród uczyni.”

Wywiad z prezydentem Somali — Syjadem Barre ukazał się w „Newsweek” 27 czerwca 1977 roku, a więc w dniu, kiedy powstała Republika Dżibuti. Syjad Barre powiedział jeszcze w tym wywiadzie: „...nie dokonamy inwazji Etiopii”. Ale „Newsweek” obok wywiadu zamieścił mapkę ilustrującą terytorialne pretensje Somali. Obejmują one jedną trzecią obszaru Etiopii, blisko jedną trzecią obszaru Kenii i... całe terytorium Republiki Dżibuti.

Francuzi odeszli z Dżibuti. Ale i Francuzi w Dżibuti pozostali. Uważają oni nadal, że nowe, pięćdziesiąt państwo afrykańskie nie jest zdolne do samodzielnego życia. Reporterowi niemieckiego pisma „Die Welt” — Willemu Lutzenkirchenowi powiedział jeden z francuskich mieszkańców miasta Dżibuti:

— Wielu młodych Murzynów przeżywa euforię, rausz niepodległościowy. Nie zdają sobie jednak w ogóle sprawy, na co się narażają. Bez Francji wszystko tutaj się załamie. Ludzie będą po prostu głodowali, zaczęła wymierać. Dżibuti jest jak stacja kosmiczna na Księżycu, wszystko trzeba tu dostarczać z zewnątrz. Tu są tylko kamienie i piasek.

Dawne Terytorium Afarów i Issów stworzyli Francuzi, stworzyli je wbrew interesom tutejszych ludów, nie licząc się z zasięgiem terytorialnym rdzenną, afrykańską ludność. Stworzyli państwo, które otrzymało teraz niepodległość i swoje samodzielne istnienie rozpoczęło wśród narastających konfliktów w „Rogu Afryki”. Jaki będzie los tego państwa bez przemysłu, rolnictwa, bogactw naturalnych? Czy potrafi oprzeć się terytorialnym zakusom sąsiadów? Jak sobie poradzi z wewnętrznymi, narodowościowymi sprzecznościami?

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

INFORMACJE

T. Różewicz laureatem

Znanu poetę, prozaik i dramaturg — Tadeusz Różewicz udekorowany został Orderem Sztandaru Pracy II klasy, przyznawanym mu przez Radę Państwa za całokształt twórczości literackiej.

Nad czym pracują twórcy

Na pytanie, nad czym pracują, odpowiedzieli:

ROMAN BRATNY: kończę powieść pt. „Rozstrzelane wesela”, w której — podobnie jak we wszystkich moich utworach — sięgam do lat okupacji, choć akcja dzieje się w czasach dzisiejszych w różnych środowiskach. Niedawno złożyłem w „Czytelniku” książkę z pogranicza eseistyki i wspomnień, zatytułowaną „Pamiętnik moich książek”. Są to szkice i notatki, które prowadziłem do końca lat sześćdziesiątych.

WANDA JAKUBOWSKA: jestem pochłonięta przygotowaniem do filmu o Ludwiku Warzyńskim. Chciałabym przybliżyć widzom tę wspaniałą postać, ukazać początki polskiego socjalizmu. Tytułową rolę w filmie, do którego zdjęcia zaczęliśmy w lipcu, grać będzie młody aktor Teatru „Rozmaitości” w Warszawie — Tomasz Grochoczyński.

REGINA SMENDZIANKA: cyklem koncertów w Filharmonii Narodowej skończyłam sezon artystyczny 1976—77 i w najbliższych miesiącach będę zajmować się przede wszystkim pracą dydaktyczną. W lipcu będę prowadziła zajęcia na międzynarodowym seminarium w Weimarze oraz dam koncert na zamku Wartburg, sierpień zaś przeznaczę dla japońskich pianistów — uczestników kursu mistrzowskiego w warszawskiej uczelni.

WŁODZIMIERZ BUCZEK: rozpocząłem przewidywaną na dwa lata pracę nad cyklem 30 prac, obrazów, a częściowo — także rysunków, pod wspólnym tytułem: „Nad brzegami”. Złożą się na nią pejzaże, portrety i sceny figuralne. Z innymi kolegami współpracuję z krakowskim zakładem „Opakonet”, który kolekcjonuje dzieła współczesnych malarzy i tworzy własną galerię.

JERZY BROSKIEWICZ: skończyłem dla „Czytelnika” pierwszy tom „Doktora Twardowskiego”, książki traktującej o chorobie psychicznej i jej przezwyciężaniu przez pacjenta i medycynę. Pracuję nad drugim tomem tej powieści. Dla Wydawnictwa Literackiego przygotowuję zbiór miniatury opowiadań.

JAN RYBKOWSKI: zebrałem dokumentację do filmu „Granica”, do którego — w oparciu o powieść Zofii Nałkowskiej — scenariusz napisał Józef Hen. Realizację rozpocznę wkrótce. W listopadzie chciałbym przystąpić do realizacji serialu telewizyjnego „Rodzina Polanieckich” na podstawie powieści H. Sienkiewicza, a według scenariusza Bożeny Hlebówic i Andrzeja Mularczyka.

ARTUR SANDAUER: w Wydawnictwie Literackim wychodzi książka obejmująca mój przekład „Księga rodzaju” oraz 6 esejów o tematyce biblijnej. WL publikuje też „Poetów czterech pokoleń” — zbiór 16 sylwetek od Leśmiana po Bryllę. PIW wyda „Antologię dramatu starogreckiego” z moim przekładem Ajchylosa, Sofoklesa, Eurypidesa i Arystofanesa.

ALINA I CZESIAW CENKIEWICZOWIE: oddaliśmy do wydawnictwa drugi tom książki „Tumby z Przylądka Dobrej Nadziei”. Sądźmy, że i ten — podobnie jak pierwszy, który ma już 5 przekładów na języki obce — spodoba się czytelnikom. Pracujemy w tej chwili nad utworem o dalekiej, surowej północy.

WITOLD RUDZIŃSKI: po ostatnio ukończonym utworze „Quasi unasonata” na fortepian naszkicowałem zarys „Sonaty na skrzypce i fortepian”. W dziedzinie muzykologii najpoważniejszym obecnie moim zamiarem jest książka pt. „Nauka o rytmie muzycznym”, nad którą pracuję od kilku lat, a w tej chwili kończę i tom. Niedawno ukazała się książka „O muzyce przy głośnieku”.

LISTY

Przypadkiem, bo dzięki życzliwości jednej z naszych warszawskich koleżanek, otrzymałam „Odgłosy” z 15 maja br., a w nich bardzo interesującą i życzliwą recenzję Tadeusza Chrościelewskiego o moim „Mister Universum” — tym bardziej cenną, że podbudowaną obszerną i głęboką wiedzą o literaturze.

„Odgłosy” w Katowicach nie ma. Nawet w Domu Prasy, w archiwach tutejszych gazet i tygodników. Więc przy okazji, jaką mi dała warszawska przesyłka, mogłam przyjrzeć się łódzkiemu piśmu. I aż przytkro, bo katowickie „Poglądy” w porównaniu z „Odgłosami” takie żałośnie ubogie — we wszystkim. Nie z Waszego rozmachu, z zasobności piór. I pomyśleć, że Łódź też potężnie przemysłowa, a klimat w niej dla wielu spraw kultury wyraźnie życzliwszy.

Żałuję, że nie mogłam zaopatrzyć się tutaj w jakieś 2—3 numery Waszego tygodnika z 15 maja. Gdyby tak redakcja dysponowała egzemplarzami, które by mi mogła przysłać, by-

łabym bardzo zobowiązana. Ale to tylko taka autorska nadzieja, najpewniej bez szansy na spełnienie.

Z poważaniem i najlepszymi życzeniami powodzenia we wszystkich sprawach zawodowych i osobistych. —

MARIA KLIMAS
BLAHUTOWA
(Katowice)

Od redakcji: List ten dedykujemy „Ruchowi”.

Z Urzędu Dzielnicowego Łódź-Bałuty otrzymaliśmy list adresowany do Ewy Ostrowskiej:

Serdecznie gratuluję Towarzysze pięknego, wzruszającego, a również skłaniającego do głębszych refleksji artykułu „Widok z mego okna” („Odgłosy” nr 25 z 1977 r.).

mgr ZBIGNIEW BŁASZCZAK
(Naczelnik Dzielnicy)

Diękujemy w imieniu Autora.

W związku z notatką, jaka ukazała się w „Odgłosach” 5.06.77r. pt. „Z rozkładem jazdy w rękę”, dotyczącą braku w Rejonowym Rozkładzie Jazdy Pociągów — Okręg Łódź, ważnym od 22.05.1977 r. tabeli 420 i 421 uprzejmie informujemy, że w trakcie opracowania wyżej wymienionego rozkładu nastąpiło niedopatrzenie, wynikiem między innymi z następujących przyczyn:

— zmiany numeracji tabel np.: tab. 101 na 623, tab. 102 na 602, tab. 603 na 624.

W celu uniknięcia w przyszłości podobnych usterek podjęto odpowiednie kierunki działania.

Za powstałą niedokładność zespół redakcyjny w imieniu własnym i Wydawnictwa Komunikacji i Łączności uprzejmie przeprasza.

W załączeniu przesyłamy brakującą tabelę, która została dostarczona również do kiosków „Ruchu”, gdzie można ją otrzymać bezpłatnie.

Z poważaniem

E. ZAJĄCZKOWSKI
kierownik Zespołu

KONKURS

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu, Wojewódzka Rada Związków Zawodowych, przy współudziale ZLP i SDP — Oddziały w Łodzi, Redakcji „Odgłosów”, Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia oraz zakładów pracy województwa sieradzkiego, uczestniczących w programie „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” — ogłaszają konkurs na reportaż, artykuł, szkic, esej i felieton na temat województwa sieradzkiego.

Organizatorzy nie określają ściśle kręgu tematycznego prac, ze szczególnym zainteresowaniem jednak oczekiwane będą wypowiedzi ukazujące:

— osiągnięcia i przeobrażenia różnych grup społecznych województwa sieradzkiego,

— najistotniejsze zjawiska i problemy stanowiące sens i treść życia mieszkańców Sieradzkiego oraz kształtowanie stosunków społecznych,

— udział młodzieży w dokonujących się przeobrażeniach społeczno-ekonomicznych i kulturalnych — jej twórcze i ambitne dążenia w tworzeniu nowych wartości oraz ujawnianie zjawisk i faktów ujemnie wpływających na jakość życia i pracy młodego pokolenia.

— szeroko pojętą problematykę współczesności.

Konkurs ma charakter otwarty. Prace opatrzone godłem, o objętości do 20 stron maszynopisu przesyłać należy pod adresem: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu, ul. Zamkowa 2, z dopiskiem na kopercie „Konkurs na reportaż” — w terminie do 30 września 1977 roku. Przewidywane są następujące nagrody: pierwsza w wysokości — 10.000,— zł, druga w wysokości — 7.500,— zł, trzecia w wysokości — 5.000,— zł oraz trzy wyróżnienia po 2 tys. zł.

Szczegółowe założenia organizacyjne i programowe zawiera regulamin, który jest dostępny we wszystkich oddziałach Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGO RZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

„W latach pięćdziesiątych zrodziła się w Pentagonie inspirowana i popierana przez Departament Obrony osobliwa koncepcja, która w swoich założeniach głosiła: należy przeskoczyć korpus oficerski danego kraju, uzbroić jego armię, a kraj ten będzie należał do Stanów Zjednoczonych”.

— L. Dupree, 1968 r.

Nietrudno doszukać się źródeł powodzenia amerykańskiego programu pomocy wojskowej, choćby już z tego względu, iż fakt istnienia słabych politycznie i skorumpowanych rządów cywilnych w krajach gospodarczo zacofanych, a także ostra rywalizacja w sferze ideologicznej oraz politycznej między ugrupowaniami nacjonalistycznymi, pravicowymi z jednej strony, a postępowymi i demokratycznymi z drugiej, w znacznym stopniu ułatwiają Stanom Zjednoczonym ingerencję w tych państwach. Sukces tej ingerencji został z kolei zapewniony poprzez oparcie się na elitach wojskowych, gdyż zgodnie z panującym w łonie kolejnych administracji USA przekonaniem tylko ów establishment militarny mógł zagwarantować „otwarcie drzwi” dla inwestycji amerykańskich monopolów, umożliwiając tym samym daleko posuniętą penetrację polityczną i gospodarczą tych krajów.

Jeszcze do niedawna w świadomości znacznej części społeczeństw Zachodu, a zwłaszcza Ameryki, egzystował silnie zakorzeniony pogląd, według którego pojawienie się na przełomie lat 40 i 50 Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej jako militarnego supermocarstwa jest konsekwencją finału II wojny światowej, a zarazem przypadkowym produktem ubocznym dynamizmu tego kraju, jak również posiadanych przez ten zasobów i potencjału gospodarczego oraz dominacji w dziedzinie techniki, zwłaszcza nuklearnej. Z drugiej strony każdy obywatel USA objęty przecież od czasów szkolnych odpowiednim procesem indoktrynacji wiedział doskonale, że charakterystyczną cechą „amerykańskiej demokracji” jest dziedzictwo pacyfizmu, które (jak to na przykład wynika z podręczników historii Stanów Zjednoczonych) „istnieje mimo sporadycznych wojen narzuconych nam przez nierozsądnych i agresywnych cudzoziemców”.

Nie należy się zatem dziwić, iż podobnie brzmiące sformułowania i obłudne twierdzenia czołowej polityki Waszyngtonu wykorzystali, aby uzasadnić bezpodstawnie roszczenia Stanów Zjednoczonych do „globalnej odpowiedzialności”. Znamienne jest przy tym, co przy każdej okazji z naciskiem podkreślali niemal wszyscy przywódcy polityczni USA, iż w realizacji powyższej zasady amerykańskiej polityki zagranicznej preferują oni stosowanie instrumentów niemiilitarnych, takich na przykład, jak kredyty, działalność propagandowa, pomoc w dziedzinie techniki i technologii oraz programy wymiany ludzi. Lecz jak pogodzić owo „pragnienie pokojowe” z obecnością kilkuset tysięcy amerykańskich żołnierzy amerykańskich na granicy oraz faktem istnienia ponad 2000 placówek rozslanych niemal po całym świecie i wyposażonych w urządzenia militarne?

Zagadnienie to jest od dawna przedmiotem badań i dociekań różnych ośrodków naukowych i agend rządowych w Stanach Zjednoczonych, lecz trudno nie oprzeć się wrażeniu, że większość prób wyjaśnienia zjawiska militarystyki amerykańskiej polityki zagranicznej cechują znaczne uproszczenia, tak w zakresie powierzchownej argumentacji jak i akcentowania konieczności zachowania pozorów, w rezultacie rywalizują one z uprzednio wspomnianym uzasadnieniem wybuchu „złej” wojny wpływami czynników zewnętrznych. Dlatego też nie mają słusznego zarówno ci, którzy przyczyną dopatrują się w tym, że oficerowie armii amerykańskiej ze względu na swoją instytucjonalną pozycję oraz daleko idące konsekwencje podejmowanych decyzji, są równorzędnymi partnerami w „elicie władzy” (C. Wright Mills: „The Power Elite”), jak również ci, którzy winę za szerzący się militarizm przypisują wyłącznie niekompetencji Kongresu w sprawach dotyczących skomplikowanej problematyki nowych systemów broni (Ralph E. Lapp: „Arms Beyond Doubt”), bądź zbytnio demonizującą znaczenie i wpływ kompleksu wojskowo-przemysłowego, wskazując nań jako na jedyne główne źródło militarystyki polityki zagranicznej USA. Tymczasem, aby dostrzec rzeczywiste przyczyny tej militarystyki, jak i właściwie ocenić ekspansywny charakter amerykańskiej „foreign policy” trzeba spojrzeć na owe zjawisko z perspektywy historycznej.

2.

Po przekształceniu się gospodarki Stanów Zjednoczonych w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia w gospodarkę industrialną, dla której jednak symptomatyczne były wówczas przejawy niedomagania w zakresie wewnętrznego popytu, czołowi przedstawiciele świata przemysłu i

biznesu sformułowali swój pogląd na związek istniejący między „otwartymi drzwiami” na zagranicę dla nieograniczonego eksportu nadwyżek produkcji i kapitału z jednej strony, a zachowaniem kapitalistycznego porządku klasowego z drugiej. Jeden z czołowych architektów amerykańskiej strategii „zimnej wojny”, sekretarz stanu Dean Acheson, przemawiając w 1945 r. w senackiej komisji do spraw powojennej polityki ekonomicznej, podsumował ten imperatyw następująco:

„Gdybyśmy chcieli kontrolować cały handel i dochód narodowy Stanów Zjednoczonych, co oznaczałoby w praktyce kontrolę nad życiem narodu — to prawdopodobnie można by się uporać z tym problemem przeznaczając całą produkcję krajową na rynek wewnętrzny, ale doprowadziłoby to do całkowitej zmiany naszej konstytucji, naszego stosunku do własności, do pojęcia wolności człowieka i samej koncepcji prawa. Nikt tego nie rozważa. Dochodzi się więc do wniosku, że należy szukać innych rynków, a rynki te znajdują się za granicą”. (Gabriel Kolko: „The Politics of War”).

Jak wiadomo większość przywódców w Kongresie i wysokich funkcjonariuszy administracji zajmujących się zagadnieniami polityki zagranicznej skwapliwie zaakceptowała priorytet „otwartych drzwi” gwarantują-

Korupcja, powiązania z ekonomizmem uprzywilejowanymi grupami oraz niemożliwość do zaakceptowania cena, jaką natychmiast trzeba było zapłacić za zerwanie związków uzależniających te kraje od zagranicznych metropolii, dyskredytowały nowo powstałe elity polityczne, które nie potrafiły spełnić nadziei, rozbudowanych swoimi demagogicznymi wystąpieniami. Dlatego też zagrożenie dla tych rządów stanowili wszyscy ci, którzy głosili potrzebę przeobrażeń społecznych i mogli apelować do mas, mobilizując je w działaniu na rzecz nowej, postępowej polityki społecznej i narodowej, co oczywiście godziło w istniejący kapitalistyczny porządek klasowy i we wspierające go, oparte na kruchych podstawach instytucje cywilne.

Czynnikami rządowe Stanów Zjednoczonych, kraju, który po upadku mocarstw kolonialnych postanowił przejąć kontrolę nad wpływami w ich byłych posiadłościach, wyciągnęły z zaistniałej sytuacji wniosek następujący: W krajach o „niskiej kulturze politycznej” nie można polegać na niemiilitarnych formach pomocy i interwencji, jeśli chce się zachować „przyjazne” rządy cywilne, takie, które skutecznie zabezpieczaliby interesy gospodarcze, polityczne oraz, co jest szczególnie ważne, interesy militarne USA i jej sojuszników. Konsekwencją zaś takiego stanowiska musiała być oczywiście konieczność trwałego oparcia się na armiach kra-

żających interesom zagranicznych monopolistów albo dążą do prowadzenia niezaangażowanej, „niezależnej” polityki zagranicznej. Analizując problem dokładniej, z uwzględnieniem jego różnorodnych aspektów, można wysnuć wniosek ośmieszający, jaki program szkolenia wywiera na kształtowanie się własnej takiego obrazu sytuacji. A przyczyną się on do tego w trojaki sposób:

Po pierwsze — w ramach akcji szkolenia zaprasza się do Stanów Zjednoczonych dziesiątki tysięcy oficerów obcych armii, którym z premedytacją przedstawia się najbardziej atrakcyjne aspekty amerykańskiej gospodarki „nieograniczonej inicjatyw”.

Po drugie — wielu z tych oficerów, niezależnie od tego, czy zostali oni przeszkoleni we własnym kraju czy też za granicą, przesłanką jest doktryna o występnym naturze „międzynarodowego komunizmu”. Przez fałszywe przedstawianie faktów — między innymi przez koncentrowanie się na rzekomej niehumanitarności i nieskuteczności systemów socjalistycznych — wpajano im iscie demoniczny obraz komunizmu.

Cel tych działań był wiadomy, gdyż owe przekazywane wartości w połączeniu z uprzednio istniejącymi skłonnościami do konserwatyzmu, wzmagały wrogi nastawienie tych oficerów do wszelkiego rodzaju radykalizmu, socjalizmu i „skrajnych nacjonalizmów”. Z kolei, biorąc pod uwagę fakt, że uczestnicy takich kursów szkoleniowych są indoktrynowani i nastawieni przeciwko „popieranym przez komunistów powstanom”, jak również i to, że „wolenicy polityki neutralnej i nacjonalistycznej” akceptują pomoc komunistów w swojej walce przeciwko imperializmowi, jest zupełnie prawdopodobne, iż prawie wszystkie ugrupowania cywilne o orientacji socjalistycznej lub neutralnej uważane są przez przeszkolonych na Zachodzie oficerów za komunistyczne. Uwzględniając bowiem podejrzliwość i autokratyczną mentalność wojskową, „wina” tych elementów została udowodniona przez ich „gotowość do zaakceptowania pomocy i współpracy marksistów”.

W rezultacie przez nasilenie awersji kół wojskowych do lewicy, siły zbrojne skutecznie funkcjonują jako instrument zachowania „otwartych drzwi” dla amerykańskich inwestorów, zwłaszcza wówczas, kiedy kwestia nabiera znaczenia w danym systemie politycznym.

Po trzecie — niebagatelne znaczenie nabierają również w tym kontekście kontakty osobiste, jakie oficerowie amerykańscy i funkcjonariusze CIA nawiązują z establishmentem wojskowym obcych armii. Amerykanie ci reprezentują bowiem stanowisko generalnie wrogie wobec wszystkich, których poglądy, choćby tylko w minimalnym stopniu, mają zabarwienie lewicowe, zaś takie stanowisko pokrywa się oczywiście z demonicznym obrazem komunizmu, wpojonym oficerom tych armii, w okresie szkolenia.

5.

Z powyższych rozważań widać więc ponad wszelką wątpliwość, iż podobnie jak misje wojskowe USA w Ameryce Łacińskiej przed II wojną światową, tak szkolenie i obecność militarna w krajach rozwijających się zmierzają przede wszystkim do utworzenia amerykańskich sfer wpływów. Tyle, że w pewnym momencie, który przypadał na połowę lat 60, uznano, iż zwyciężają, prymitywne antykomunizm jest już niewystarczający dla realizacji tego celu. Mógł on bowiem wywołać w tych krajach aktywizację skrajnie pravicowych ruchów politycznych, a tego rodzaju efekt był raczej sprzeczny z dążeniami Stanów Zjednoczonych. Toteż w programach szkoleniowych pojawiła się wówczas zasada „łagodnej perwersji” w zakresie przedstawiania amerykańskiego kapitalizmu i amerykańskich instytucji społecznych, co bynajmniej nie oznaczało, iż zrezygnowano z indoktrynacji antykomunistycznej, przeciwnie, nadal intensywnie ją prowadzono, lecz tylko bardziej wyrafinowanymi metodami.

Łatwo więc sobie teraz uzmysłowić, dlaczego pomoc ekonomiczna jest uważana w kręgach rządowych USA za mniej godny zaufania środek do realizacji amerykańskich celów politycznych, niż powiązania militarne. Uwzględniając zaś ściśle związki między stabilizacją społeczną w metropoliach a polityką „otwartych drzwi” dla drenażu kapitałów inwestycyjnych za granicą, można zrozumieć niedostępność tego instrumentu polityki zagranicznej dla krytyki ze strony szerokiej opinii publicznej USA. Eufemistyczne aluzje do politycznej „próżni chaosu publicznego i skrajnych elementów” są jedynie odbiciem brutalnej prawdy, że szkolenie w ramach programów pomocy wojskowej nie wynika jedynie z ich funkcji, ale jest nieodzownym elementem prosperowania tak amerykańskiego jak i całego zachodniego kapitalizmu.

MIEDZY FRANCJĄ A ALGERIĄ

Polscy wychodźcy podążali po upadku Powstania Listopadowego tłumnie do Francji w nadziei, że niebawem ziszczą się piękne hasła braterstwa ludów i znowu stana pod bronią, dla podjęcia wielkiej, zwycięskiej walki o wyzwolenie ojczyzny. Spośród nich się utworzyła na obcej ziemi, tak jak to już raz przecież było, polskiego legionu narodowego, który odegra istotną rolę w walce o niepodległość. Wierzyli głęboko, że ich listopadowa „rewolucja” nie doznała ostatecznej klęski, iż walka jeszcze nie jest zakończona, i że ich udziałem będzie ostateczne zwycięstwo. Podążając na ziemię francuską snuli różnorodne projekty na przyszłość — doświadczenia powstanców dostarczały argumentację dla formułowania zróżnicowanych wizji przyszłości.

Francja nie mogła odmówić polskim wygnańcom gościnę. Nie mógł tego uczynić rząd, wyniesiony przez niedawną zwycięską rewolucję, chociażby ze względu na własną, francuską opinię publiczną. Polskich wychodźców witano w miastach i wsiach francuskich wręcz entuzjastycznie; urządzano na ich cześć uroczystości, wygłaszano radosne przemówienia. Nie było to po myśli rządu Ludwika Filipa, ale było to społecznym i politycznym faktem. Monarchia Lipowa dążyła jednak do stabilizacji. Co raz wyraźniej odcinała się od tych sił, które tak bardzo pomogły jej w zdobyciu władzy. Dystansowała się od radykałów, głoszących idee niepartijczymu wolności i wyzwalających do udzielenia pomocy wszystkim, podejmującym walkę o wolność. Podjęła wysiłki, aby liczną — niespodziewanie wielką — masę polskich uchodźców maksymalnie odizolować od społeczeństwa i jak najmniej obciążać ich utrzymaniem skarb państwa. Polacy — był to żywioł leżny, nad wyraz czynny politycznie; władzom chodzilo, by stał się jak najspokojniejszy, jak najdalej od włączania się w wewnętrzne walki ideowe i polityczne we Francji, i jak... najmniej kosztowny. Polityczna aktywność Polaków, ich związek z europejskimi ruchami lewicowymi i demokratycznymi, były to sprawy nad wyraz niewygodne dla rządu Ludwika Filipa, dążącego do ułożenia dobrych stosunków z dworami europejskimi, w szczególności zaś z monarchiami rozbiorowymi.

W takim to politycznym kontekście zrodziły się projekty skierowania maksymalnie dużej liczby Polaków do zajmowanej właśnie przez Francję Algierii, gdzie Francja starała się zrealizować swoje wielkomocarstwowe cele. Jeszcze 10 marca 1831 r. powstała Legia Cudzoziemska, mająca wzmocnić stosunki z słabymi siłami francuskimi w Afryce. W styczniu następnego, 1832 roku, podjęto decyzję o utworzeniu w niej batalionu polskiego. Nie ziszczy się wówczas rządowe nadzieje i nie udało się zachęcić większej liczby polskich wychodźców do zaciągnięcia się do Legii. Francuskiej propagandzie uległa tylko skromna karszka uchodźców, których starczyło na uformowanie jednej polskiej kompanii. Dopiero w 1834 r. większa liczba Polaków znalazła się w Algierii. Uformowany wtedy polski batalion liczył 683 osoby.

Na udział Polaków w awanturze algierskiej można spojrzeć z różnych stron. Najczęściej czyniono to ze strony polskiej; dawniejsza literatura wielokrotnie podejmowała ten temat, jako fragment historii Wielkiej Emigracji, zwłaszcza w początkach jej istnienia, ukazując walkę polityczną, jaka rozgrywała się wokół sprawy algierskiej w polskich środowiskach na wchodźstwie. Brakowało, jak dotąd ujęcia szerszego: spojrzenia na awanturę algierską z punktu widzenia całokształtu układu sił politycznych w Europie, a przede wszystkim ówczesnej polityki francuskiej. Na takie szersze ujęcie tej problematyki zdecydowała się Aleksandra H. Kaszyńska w wydanej ostatnio przez Oddział PAN w Krakowie monografię, opatrzoną tytułem: „Między Francją a Algierią. Z dziejów migracji polskiej 1832—1856” (Ossolineum 1977). Jest to z pewnością wartościowa książka, oparta o solidną podstawę dokumentacyjną, uzyskaną w wyniku badań, przeprowadzonych w bibliotekach i archiwach polskich i francuskich. Dobrze też, że autorka opierała się na badaniach szerszych, niż to czynili inni badacze odcinek czasu, doprowadzając swe rozważania, aż do wojny krwistej. Dobrze wreszcie, że aczkolwiek autorka skupiła swoją uwagę głównie na opisie kolejnych wydarzeń, nie uszła z jej horyzontu sprawa znaczenia doświadczeń algierskich dla polskiej myśli wojskowej i politycznej. Słusznie autorka podkreśliła, że problematyka algierska „sama w sobie” nie cieszyła się zbyt wielkim zainteresowaniem uchodźców, skoncentrowanych „na kwestiach narodowych”.

Jednakże nieustanna wojna Arabów z najdłuższą nasuwała Polakom myśl o podobieństwie z ich własną walką. Jakaś niedawno stoczyła, i jaka jeszcze czekała ich miala — jak przypuszczano — w niedalekiej przyszłości. Stał się z nią sympatja dla krajowców i wysoka ocena ich dzielności, a także zainteresowanie arabską taktyką wojenną. Mr Bystrowski został nawet specjalnie wysłany do Afryki, aby przedstawić zasady wojny partyzanckiej pod kątem użyteczności jej elementów w przyszłym powstaniu na ziemiach polskich”.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ANDRZEJ BLAJER

INSTRUMENT NEOKOLONIALIZMU

cy niedyskryminowany handel i dokonywanie inwestycji przez USA poza granicami swego kraju. W taki oto sposób koncepcja „otwartych drzwi” stała się jednym z głównych celów amerykańskiej „foreign policy”.

Wyjaśnia ona nie tylko motywy, nasilającego się oporu Waszyngtonu wobec ekspansji Japonii i III Rzeszy pod koniec lat trzydziestych, lecz także tłumaczy trwającą ponad 70 lat wrogię nastawienie Ameryki do rewolucji i przemian społecznych w krajach rozwijających się. Przyjęcie takiej funkcjonalnej postawy zapoczątkowała decyzja Stanów Zjednoczonych, aby raczej dokonać interwencji zbrojnej na Kubie i Filipinach niż w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, niż po prostu uznać siły rewolucyjne na tych wyspach i udzielić im pomocy wojskowej i gospodarczej. Wyrazem konsolidacji tego modelu postępowania było tłumienie postępowych powstań na półkuli południowej w I połowie bieżącego stulecia, interwencja w okresie rewolucji meksykańskiej i udział w interwencji zbrojnej przeciwko ZSRR w latach 1918—1920. Wrogię nastawienie do wszelkich ruchów postępowych działających w krajach okupowanych przez państwa Osi w okresie II wojny światowej, przerodziło się w imperatyw doktrynalny po 1945 roku, który wyraźnie uwiódł się w programach politycznych przywódców Trumana, Eisenhowera, Johnsona, Nixona czy w skazaniu z góry na niepowodzenie „Sojuszu dla Postępu”. Toteż nie dziwnego, że w ciągu powojennego trzydziestolecia Stany Zjednoczone uczestniczyły bezpośrednio lub pośrednio w kilkudziesięciu interwencjach, których celem było bądź obalenie postępowych rządów, bądź niedopuszczenie do objęcia władzy przez siły uchodzące w oczach USA za wrogię lub co najmniej niewygodne dla ich strategii.

3.

II wojna światowa w znacznym stopniu osłabiła zdolność Wielkiej Brytanii i Francji do obrony swoich imperiów i przyczyniła się do powstania ruchów rewolucyjnych, walczących o prawo do samostanowienia narodów w koloniach. Uwzględniając z kolei fakt, że państwa kolonialne wchodziły tymi zacofanymi gospodarczo obszarami głównie w celu eksploatacji ich zasobów naturalnych oraz ze względu na ich znaczenie strategiczne nie były zainteresowane w ekonomicznym i politycznym rozwoju tych rejonów, narzucone tam nagle pod koniec lat 40 oraz w latach 50 i 60 cywilne rządy konstytucyjne nie potrafiły się zinstytucjonalizować i zawsze brakowało im wszechstronnego normatywnego uzasadnienia prawnego swojej władzy.

jów rozwijających się, by w ten sposób zachować niezbędną „stabilizację”, zwłaszcza w państwach zaliczanych do Trzeciego Świata. Było to tym łatwiejsze, że armie, te zostały całkowicie uzależnione od amerykańskich dostaw broni, jak również dlatego, że znaczną większość ich korpusu oficerskiego stanowili ludzie zdecydowanie wrogo nastawieni do idei socjalizmu oraz radykalnych ruchów politycznych.

Znaczenie wzajemnych związków między pomocą wojskową a kontrewolucyjną rolą armii znalazło się oczywiście w centrum uwagi, zarówno czynników rządowych jak i naukowców, lecz chyba najlepiej problem ten sprecyzował generał Robert W. Porter w przemówieniu wygłoszonym w marcu 1968 roku, a poświęconym amerykańskiej pomocy wojskowej w Ameryce Łacińskiej:

„Wielu z nas, panowie, należy do czołowych przedstawicieli świata przemysłu i biznesu i kształtuje jego politykę. Właśnie świat przemysłu i biznesu dokonuje olbrzymich, amerykańskich inwestycji prywatnych w Ameryce Łacińskiej... Traktując więc te wielkie kwoty z publicznych funduszy amerykańskich, które wydawano na pomoc wojskową i projekty o charakterze socjalnym Agencji Międzynarodowego Rozwoju jako bardzo skromną opłatę za polską ubezpieczeniową chroniącą naszą olbrzymie inwestycje na terenach o ogromnym znaczeniu strategicznym dla naszego kraju i ogromnym znaczeniu dla naszego handlu”.

4.

Istnieje jednak pewien aspekt problemu pomocy wojskowej dla krajów rozwijających się, który budzi niekiedy dość poważne obawy kręgów rządowych asygnujących tę pomoc, mianowicie trudność określenia wpływu, jaki może ona wywrzeć na polityczne zachowanie znajdujących się w stadium rozwoju sił zbrojnych tych państw i przewidywania ukierunkowania tego zachowania w przyszłości. Obawom tym dał swego czasu wyraz sekretarz obrony USA, Robert McNamara, kiedy oświadczył:

„Nie można udzielać pomocy wojskowej, która ma na celu zapewnienie bezpieczeństwa wewnętrznego jakimkolwiek państwu w Ameryce Łacińskiej i oczekiwać, że nie wykorzystają ono dostarczonego sprzętu wojskowego w godzinie zamachu stanu. Dlatego też wydaje mi się, musimy bardzo starannie rozważać stabilizację stosunków w danym kraju, możliwości dokonania zamachu stanu i przypuszczalny charakter tego coup d'état”.

Rozwiązanie owego zasadniczego dla Stanów Zjednoczonych dylematu miało właśnie przynieść odpowiednio opracowany program pomocy wojskowej, a ściślej — szkolenie prowadzone w jego ramach. Głównym celem owego szkolenia, jak sugeruje Miles D. Wolpin w swej pracy „Military Assistance and Counterrevolution”, było zwiększenie prawdopodobieństwa ingerencji armii w krajach rozwijających się, zwłaszcza tam, gdzie istniejące lub przyszłe rządy zagra-

LITERATURA

BOGUSŁAW SIKORSKI

OJCZYŻNA

To tylko Twoje ręce
Twoje ręce codziennie
Mierzają czas życia

To tylko Twoje ramie
Układa ulice
Z wzorzystej tkaniny

To tylko Twoje myśli
Z codziennym lotem gołębia
Z pracą żeglarza i falą sztormu

To tylko Twoje oczy
Zielone układają dni
W kolorowy krajobraz

To tylko Ty byłeś
To tylko Ty jesteś
I tylko Ty będziesz

To tylko Twoją jesteście
Zbudowani dłońmi

POD NIEBEM MAZOWSZA

Pod każdą gwiazdą
Deszcz złotych łanów
Poruszy twoje ramie
Zieleń ziarno podeprze

Tu biegle okopy
Tam w twarz bito
Stąd jest ta blizna
Stąd jest tamten ślad

Tu walka pachnie ziemią
W zębach trzeszczy piach

Pola zapach traw
Płaski horyzont
Jak płaszczyznki
Języczki wypracowane
Na plecach leży

Zrosły się blizny
Zasypano okopy
A płaszczyznki
Pod ziemią rozpostarty leży



Falują liny zawijane w muszel
Wielkie twarde ramiona głębokim oddechem
Złote kłosa syją żywe komórki
Tu rosniesz jesteście będziemy
Gdzie najmniejsze ziarno
Jest największym kłosem.

Z tomiku „Czas naszej ziemi”, który w br. ukaże się nakładem WL.

RAFAŁ ORLEWSKI

DEKLINACJA

Zamilcz, kiedy krzyczy człowiek na człowieka.
Kłękaj, kiedy mówi człowiek do człowieka.
A jeśliś sam człowiek, biegnij do człowieka.
A jeśliś nie człowiek, ucz się do człowieka.

Zabij, gdy poluje człowiek na człowieka.
Oszczędz, kiedy człowiek każe zjeść człowieka.
Człowiek człowiekowi człowiekiem.
Bo ludzie nad ludźmi lubią śpiewać requiem.

Tak nietawo człowiek spotyka człowieka —
Człowiek nie dogoni, gdy człowiek ucieka.

OSIEDLINY

Na polach bitew stoczonych
ze sobą,
z wszystkim, co we mnie,
z pieśni i kadzidła,
z kosmosu słowa,
z nawozu na widłach
i z wiatru,
który przemykał się
obok —

zostawię tyle,
ile dźwiga miasto,
gdzie wiersz mój
biegnie po
Czas i Odległość,
gdzie go unoszę
wysoko przed
Trudem,

by krew zapalić
jak znicz olimpijski.

1976

Wiersze z tomu pt. „Idąc”, który ukaże się nakładem WL.

JANUSZ WOJDECKI

JUTRO POPŁYNIEMY DALEKO

Zjedli już obiad i pili herbatę, kiedy do ich stolika przysiadły się dwie dziewczyny. Miały krótko obcięte, czarne włosy, pomalowane paznokcie i identyczne sukienki „Blue jeans”. Jedna z nich, z miejsca, nie zwracając na nich uwagi zaczęła się pudrować, a potem wyjęła buteleczkę perfum, powąchała i dotknęła się nią za uchem. Andrzej przechylił się nieznacznie przez stół i udało mu się zobaczyć napis na buteleczce: był to „Chanel No 5”. Zamówiły kawę. Nie wiedzieli jak je zacząć i w końcu poczęstowali je papierosami. Nie były ładne, ale wyglądały na starsze od nich i można się było po tym wiele spodziewać. Zapaliły, ale nie chciały z nimi gadać.

Kiedy skończyły palić, kupili sobie w barze po dużym piwie i wyszli na zewnątrz. Usiedli. Piwo było chłodne i cierpkie, akurat takie, jak je sobie wyobrażali, ale naprawdę dobre były tylko pierwsze trzy łyki. Zapalili znowu i Maciek powiedział, że te dziewczyny wyglądały na lepsze kurwy i dobrze, że się z nimi nie umówił. Maciek miał już dziewczynę i czasem o niej opowiadał.

Zrobiło się bardzo przyjemnie. Studenci odstawili piwa i zaczęli śpiewać. Była ich cała paczka, dziewczyny i faceti, mieli dwie gitary i Andrzej byłby się przyłączył, gdyby nie było mu gupio. Co roku przyjeżdżali do Paniewa ci sami studenci, siedzieli przy tych samych stolikach przed restauracją koło śluzy i śpiewali te same piosenki: o starym kowboju, o tratwie, o figofago, o sam-bie-sikoreczce. Maciek i Andrzej zawsze, gdy tędy przepływali, przychodzili ich słuchać.

Koło czwartej Maciek powiedział, że muszą płynąć dalej. Kajak był przywiązany do galezi sto metrów od restauracji. Kiedy tam doszli, nad wodą siedziało trzech facetów dobrze po dwudziestce i Andrzej pomyślał, że chcą ich zacząć. Obaj z Maciekiem byli wysocy i wyróżniali się jak na siedemnastolatków i w końcu tamci sobie poszli.

W kajaku było mało miejsca, bo kupili piwo na drogę. Upchnęli trochę bagaż, usiedli na kapokach i przyłożyli się do wioseł. Następnego dnia mieli oddać kajak na przystani w Augustowie.

Przywykli już do pracy przy wiosłach, a dzisiaj szło im wyjątkowo dobrze. Mijali migdalące się w kajakach parki, minęli kilka grubawych małżeństw, rozbijających obóz na noc. Pościgali się z obozem harcerskim na nowotulskich, gumowanych kajakach. Ich kajak był ze zwyczajnej dykty, ale i tak nie dali harcerzy-kom szansy. Służy w Gorzycy przepłynęli razem z nimi i nie zapłacili ani grosza. W końcu zgubili ich gdzieś koło Suhej Rzeki.

Mieli do zrobienia najdłuższy i najcięższy odcinek kanału.

Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, Andrzej powiedział, że muszą odpocząć.

Pallili w milczeniu patrząc na ciemne brzegi kanału. Po chwili popłynęli dalej, ale teraz na zmianę jeden wiosłował, a drugi palił papierosa, albo śpiewał piosenkę. Raz obaj wstali i jednocześnie odłali się z kajaka do wody, osłaniając się przed sobą rękami.

Koło jedenastej dopłynęli do śluzy w Swobodzie. Była już zamknięta, więc dobili do brzegu i wyciągnęli kajak na piach. Prawie nie porozumiewając się wypakowali bagaże i przenieśli na drugi koniec śluzy. Wrócili, podnieśli kajak i zarzucili na ramiona. Mieli za sobą miesiąc ciężkiej pracy na wodzie. Obeszli śluzę dookoła, kil kajaków wbił im się w obojętą. Po drugiej stronie załadowali kajak z powrotem.

Usiedli nad wodą, na betonowym ocebrowaniu śluzy. Była wyjątkowo pogodna noc. Na niebie widać było gwiazdy Drogi Mlecznej, w atramentowo — polyskującej wodzie widzieli ich odbicia, na wysokości oczu palili się ogniki papierosów.

— Wrócimy tu w przyszłym roku — powiedział w końcu Maciek. Papierosy zgasył z głośnym sykaniem. Powiosłowali kanałem. Za zakretem widać było ogromny, letni księżyc.

Dwadzieścia metrów przed nim stał przycumowany do brzegu, duży, kajutowy jacht. Nikt nie pływa, ani nie cumuje w kanale nocą. Podpłynęli, zachowywali się cicho.

W kajucie na jachcie paliło się światło. Obok, na brzegu rozlegał się dziwny odgłos. Ktoś płakał, a w krótkich przerwach wymiotował do wody. Nagle usłyszeli krzyk dziewczyny, może w ich wieku, przeciągły i zachłystujący się łzami:

— Jerzy, ooch Jerzy!

Przeplnęli obok nie mówiąc, prawie nie używając wiosel, przed nim odsłoniła się polyskująca tafla jeziora Studzienicznego. Na drugim brzegu paliło się ognisko. Było tak cicho, że aż tutaj słyszeli dźwięki gitary i dochodzące z drugiego brzegu słowa piosenki:

„Jutro popłyniemy daleko,
jeszcze dalej niż te obłoki,
pokłonimy się nowym brzegom,
odkryjemy nowe zatoki.”

Maciek odłożył wiosło i zapalił papierosa.

— Musiał być nieźle dać — powiedział z niespodziewaną nutą fachowości w głosie. — Jak takiej dobrze dasz pierwszy raz, to może rygać.

Zaciągnął się i wypuścił dym.

— Rozumiesz, wszystko w środku ją boli.

Andrzej niepewnie skinął głową i powiosłował w stronę odległych światel przystani. Lato miało się ku końcowi.

BARBARA NADGÓRSKA



Kraj lat dziecińczych czują ciała stare,
serca po kilku zawałach, żyły z zacinającym się

Każdy ma wtedy w myślach warkoczek z różową kokardką,

siniaki i startą z kolan skórę albo lemoniadę w proszku.

Pociągająca nosem przeszłość to nagroda pocieszenia,
którą przyznaje się po zakończonych wyścigach

i burzliwej naradzie sklerotycznych sędziów.
Ja jestem za blisko,

to chyba ćwierćfinał,
więc do Ciebie wracam po piękno i czystość — na łeb na szyję.

Kiedy ustanieś się w symbol, wrzucą Cię do szafy i odświeżać jak futro — na zimę stulecia będą.

Dziś jesteś jeszcze człowiekiem z innej dzielnicy uczuć.

Jedną nogą w moim pochyleniu głowy,
jedną ręką w oczach moich, jednym wstydem
w zagryzieniu moich warg. Stukam obcasami na chandrze

i obiecuję sobie wyrzucić Cię za drzwi snów.
I biegnę spać.

1977 r.

Ja umrę! Wyczytałem ten wyrok z twarzy przechodnia, który nie mógł mnie znać, a jednak przyglądał mi się szczególnie natarczywie, wyprzedzał mnie, żeby dokładnie spojrzeć mi w oczy, wymownie chrząknął, gdy zakaszałem, aby wreszcie gdy nieopacznie przystanąłem, zwrócić moją uwagę na znajdujący się za moimi plecami zakład pogrzebowy. Wtedy mi powiedział, że warto, bym kupił sobie trumnę. Uciekłem, ale on podążył za mną. Kluczyłem, żeby go zgubić. Ale on napastował mnie także w nocy. Widziałem we śnie, jak idzie za mną i goni mnie aż do łóżka. Nachyla się, aby powiedzieć, że nie powinienem zwlekać, bo trumna jest mi może bardziej potrzebna niż komukolwiek innemu. Pokazywał mi cały rząd trumien i proponował taką najbardziej złoconą. Całe moje mieszkanie wypełnił trumnami.

I nalegał: „No, którą, którą?” Krzychałem, że nie chcę żadnej bo mam brata, który na pewno mnie pochowa, jeżeli taka potrzeba zajdzie.

Rano wyszedłem do baru na śniadanie. Kiedy wróciłem, zastałem dwóch mężczyzn stojących przed drzwiami do mojego mieszkania. Jeden z nich trzymał oparty o ścianę jakiś ogromny przedmiot. Drugi naciskał guzik dzwonka. Wszyscy trzej nasłuchiwalisi, czy nie podchodzi do drzwi, co nie mogło być przecież możliwe.

„Pewnie jest tam tylko nieboszczyk” — odezwał się ten, który podtrzymywał ów ogromny przedmiot.

„On trzyma trumnę!” — to odkrycie sprawiło, że zbladłem. „Co pan tak zbladł?” — zapytał mnie przestępując z nogi na nogę. „Wrażliwy” — rzekł teraz ten drugi z wyraźną w głosie pogardą. „Znał pan nieboszczyka?” — ponownie zapytał mnie pierwszy. „Nie” — odparłem, medytując o kogo im chodzi, kto według nich jest nieboszczykiem, bo na pewno nie ja, skoro stoję tu z nimi. „A kim pan jest?” Spojrzałem na pytającego mnie o to człowieka, bo ton jego głosu był więcej niż nieprzyjemny.

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

DOBRY SPRZEDAWCA

„Tym, kim jestem” — rzekłem. „Daj spokój, niech sobie stoi, jak chce” — powiedział ten trzymający trumnę. „Co robimy? Czekamy?”, „A co mamy robić”, „Na kogo?” — zapytałem. „Na kogoś z rodziny nieboszczyka”. „Tego, po którym zostało jeszcze to nazwisko na drzwiach” — zażartował ten z trumną.

„O mnie więc chodzi. To mnie przynieśli tę trumnę” — pomyślałem. „On nie ma żadnej rodziny. Ma tylko brata. Ale panowie znacie na pewno opowieść o Kainie i Abla?” „A więc to brat go zabił?” „Nie, to Kain zabił Abła”. „To wiemy, ale co z tego?” „To z tego, że jego brat tu nie przyjdzie. Ma swoje sprawy. A poza tym to o mnie chodzi. To ja jestem, kogo nazwisko figuruje na tej tabliczce na drzwiach”. „Ale pan nie jest nieboszczykiem” — zdziwili się obaj. „No właśnie, właśnie, moi drodzy panowie. Dla kogo więc przynieśliście tę trumnę?” „Dla pana”. „Dla mnie? Przecież sami widzieli, że ja nie jestem nieboszczykiem”. „Kazano, więc przynieśliśmy”. „A kto wam kazał?” „Ja” — zjawił się nagle przechodzień, który wcześniej proponował mi kupno trumny. Zbladłem. Znowu zbladłem i zrobiłem, co kazał. A kazał, żebyśmy otworzyli mieszkanie, aby ci dwaj mogli wstawić do niego trumnę. Gdy zostaliśmy sami, zapytał, jak mi się trumna podoba, czy jest dostatecznie pozłacana i czy aby wygodna. „Niech pan to zaraz sprawdzi”. „Nie, nie wejdę do niej. Nigdy!”

„Przyjacieliu, co też pan mówi? Leżenie w trumnie czeka każdego z nas. Nie wszyscy jednak wiedzą, w czym leżą, bo im kupują trumnę dopiero po śmierci. A pan, mając na świecie jedynie brata, powinien sam zadbać o swoją przyszłą kolebuisę. Tym bardziej, że nie wygląda pan najlepiej. Coś panu przeczytałem.” Z postrzępionej kieszeni swego palta wyciągnął plik zabrudzonych i mocno już pomiętych kartek. Przewertował je i jedną z nich wyciągnął na wierzch. Zaczął mi czytać: „Kain zabił Abła i ciągle to czyni, więc ty nie bądź głupi i sam wchodź do skrzyni”. Dobrze, co? — zapytał — to jedna z moich złotych myśli. I jeszcze jedną panu przeczytam: „W trumnie odbywa się droga do wieczności, więc jak dom ją traktuj, bracie drogi. W niej bowiem spoczna twoje zmęczone kości, więc dom twój nie może być ubogi”. „No, co pan na to?” „Głupie”. „Pan się zna na wierszach?” „Znam”. „A po co to panu? Przecież i tak pan umrze”. „A po co pan pisze te brednie?” „Żeby sprzedawać trumny”. „A sobie już pan kupił?” „Ja dostanę darmo za wysługę”. „Dobrze, ile kosztuje ta trumna?” Wymienił cenę. Zapłaciłem gotówką. I żeby nie być Ablem, posłałem ją w prezencie bratu.

ZBIGNIEW ADAMSKI

MŁODE MATKI

Młode matki
są jak Krzysztof Kolumb
gdy żeglują
w słoneczne południa
małymi fregatami wózków
do nieznanej granicy
dnia

Napinane do bólu
jak wielki żagiel
obwieszają bliskość
szczęśliwego ładu
gdy reszta załogi
pije na rufie piwo
i obmyśla zdradę

Młode matki
w białych portach
tulą małych żeglarzy.

ŻYCIORYSY

Nie pamiętam już teraz dlaczego i po co znalazłem się ostatnim razem w Muzeum Krajoznawczym w Szui. Za to doskonale pamiętam jego wnętrze. Przechodziłem z jednej sali do drugiej z takim uczuciem, jakby ktoś usłownie odwracał przede mną karty historii miasta.

Na planszach poświęconych II wojnie światowej uwagę moją zwróciła dziwna kwadratowa czapka wojskowa. Rogatyłka — zdziwiłem się. Obok leżały dokumenty z rysunkiem orla i fotografią sympatycznej dziewczyny w wojskowym mundurze nie naszego kroju. Z trudem udało mi się odczytać połówkę, wypisaną po polsku dokumenty. Należały one do kaprała Wojska Polskiego Zoi Andrejowej Gołubiewej. Zaciekawilo mnie, dlaczego ta Rosjanka walczyła w czasie wojny w szeregach Wojska Polskiego, a nie w jednostkach Armii Czerwonej? Czym się wyróżniła, że jej rzeczy osobiste i dokumenty stały się dla nas tak cenne? Jak się potoczyły jej powojenne losy? Czy w ogóle przeżyła wojnę?

Dyrektora muzeum B. W. Kubariowa pytania moje wcale nie zdziwiły. Nie ja pierwszy zwracałem się do niego po wyjaśnienia. O Zoi Andrejowej Gołubiewej dyrektor opowiedział mi niemało ciekawych rzeczy, a na pożegnanie powiedział:

— Może ja pan przecież odwiedzić i porozmawiać osobście. Zoja mieszka niedaleko stąd. Myślę, że nie będzie pan żałował.

Dzwonię do drzwi pod wskazanym adresem. Otwiera je niewysoka szczupła kobieta. Wiosna ma zaczesane gładko do tyłu i od razu dostrzegam w nich sporo srebrzystych nitk. Poważne piwne oczy patrzą serdecznie i pytająco. Przedstawiam się: — Jestem dziennikarzem...

— Proszę bardzo, — uśmiecha się Zoja Andrejowna, a po chwili już martwi się, gdzie by tu gościa najwygodniej posadzić.

Pierwszy raz odczuła grozę śmierci w wieku dwunastu lat. Strzelano do jej ojca, Adreja Wasiljewicza Gołubiewa. Było to w trudnych latach dwudziestych. Ojciec wraz z całą rodziną jeździł po kraju jako członek oddziału żywnościowego, który rekwirował u kulaków ziarno dla głodujących miast. W tamtych czasach Zoja zjeżdżała całą prawie Rosję. Była w Kazachstanie, na Syberii, nad Donem i Dolną Wołgą, wszędzie tam, dokąd losy rzuciły byłego narzędnicy Adreja Gołubiewa.

Zoja miała różnorakie zainteresowania, ale gdy nadszedł czas ostatecznej decyzji, podjęła ją bez wahania: będzie nauczycielką i to geografii. Jak widać nie na próżno dzieciństwo i wczesna młodość spędziła „na kółkach”. W Szui, dokąd sprowadziła się cała rodzina Gołubiewów Zoja ukończyła kursy nauczycielskie.

— Pojechałam pracować na wieś, — mówi Zoja, — tam wtedy był zupełny brak nauczycieli. Miałam wielką satysfakcję z tego, że odkrywałam przed wiejskimi dziećmi cały wielki otaczający ich świat, że to ja pierwsza zaznajamiałam ich z budową kuli ziemskiej, z ładami, morzami, narodami innych kontynentów.

Po kilku latach Zoja zaczęła rozpoczynać naukę na wydziale geograficznym Uniwersytetu Moskiewskiego, chociaż niełatwo było w tamtych latach pracować i uczyć się. Po skończonych lekcjach często przyjeżdżała do Szui popracować w bibliotece, odwiedzić rodziców. Gdy była w polowie drogi do dyplomu magisterskiego zaczęła się wojna. Zoja odprowadziła na dworzec dwóch braci — Iwana i Aleksieja, pożegnała się również z najdroższym dla niej człowiekiem — narzeczonym Władimirem i stanęła w koleście do komendantury wojskowej. Takich, jak ona — ochotników — zebrało się przed gmachem kilka setek. Dopiero po wielu godzinach doczekała się swojej kolejki i stanęła przed komendantem. Zmęczony niemłody officer nie dał jej nawet otworzyć ust i od razu spytał o najważniejsze: — Gdzie pracujesz?

— W szkole na wsi, ucze geografii. — A kto według ciebie, będzie dzieci uczył? Myślisz, że z powodu wojny zamkniemy szkoły? Wiesz, ilu po tej wojnie trzeba będzie ludzi światłych, wykształconych? Budować jest trudniej — niż burzyć.

Widząc, że dziewczyna jest bliska płaczu, dodał już mniej surowo:

— Dobrze, zostaw swoją ankietę, jak będziesz potrzebna — damy znać. „Znać” jej długo nie dawali. Hitlerowcy doszli już do Stalingradu, Armia Czerwona wzdłuż całej linii frontu toczyła ciężkie walki. Pewnego ranka Zoja znów poszła do komendanta. I znów usłyszała: — Czekać. Wreszcie, w początkach 1943 roku nie wytrzymała i zjawiła się u komendanta nie z prośbą, a z żądaniem:

— Wyślijcie mnie na front! Zrozumcie — ja muszę! Tym razem nie dała się pozbyć, pokazała swoje najważniejsze „argumenty” — zawiadomienia o śmierci

na polu chwały brata Iwana i narzeczonych Władimira.

Na front jej jednak nie posłano. Dostała skierowanie do Moskwy, do szkoły łączności wojskowej. Tam były same dziewczyny. Wszystkie — po maturze albo po studiach: telexy i cała aparatura błyskawicznej łączności operacyjnej była wtedy jeszcze nowością techniczną i obsługi ich była dość skomplikowana. Oprócz szkolenia specjalistycznego, kursantki musiały odbywać normalne szkolne lekcje — ćwiczenia ze służby liniowej, strzelania, orientacji w terenie itp. Kursy były półroczne, jednak już po trzech miesiącach kursantka Zoja Gołubiewa i dziewięć innych dziewcząt — wzorowych uczennic — otrzymało od dowództwa odpowiednie dokumenty i przydział do sztabu formowania Wojska Polskiego.

Nowe nieznane mundury, nowe regulaminy, inne stosunki i zależności służbowe. Z początku trudno się było do tego przyzwyczaić. Nielatwo szła nauka języka polskiego. Dziwne i niepotrzebne wydawało się zarzą-

Pewnego dnia do sztabu Pierwszej Armii WP. przybył podpułkownik Armii Czerwonej z jednostki współdziałającej z polskimi oddziałami. Wyjaśnił on, że musi natychmiast przekazać do dowództwa radzieckiego ważny komunikat. Wezwano kaprała Gołubiewą (na krótko przed tym otrzymała awans). Zoja błyskawicznie nawiązała łączność, lecz okazało się, iż kanał jest tak przeciążony, że nie ma mowy o natychmiastowym nadawaniu. Wtedy radziecki podpułkownik rzekł:

— Co zrobimy z tym fantem, obywatelu kapralu? Jeśli komunikat się spóźni, możemy ponieść duże straty w ludziach.

Niespodziewanie ten niemłody już officer mrugnął do niej szelmowsko: — Wiesz co? Oszukamy ich. Nadaj, że na linii jest generał Nowikow, który musi bezpośrednio rozmawiać z dowództwem.

Zoja usłuchała. Słowo „generał” swą magiczną siłą zwołowało kanał. Nie tracąc ani chwili zaczęła stuknąć na klawiszach telexu. Depesza była wyjątkowo trudna i długa. Mimo iż bardzo się spieszyła, podpułkownik jeszcze ją popęzdził. Wreszcie uporala się z ostatnią kolumną cyfr i wy-czerpana do ostatnich granic opuściła zdrtwiałe ręce. Gdy telegrafista sztabowy potwierdził przyjęcie depeszy, podpułkownik aż ucałował Zoję z radości. Niedługo po tym wydarzeniu kapralowi Wojska Polskiego Z.

nimi. Wśród dokumentów, które troskliwie przechowywała Zoja Andrejowna znalazłem „List pochwalny”, który pozwalał sobie przytoczyć:

„Dowództwo Pierwszego Samodzielnego Pułku Łączności wyraża podziękowanie i nagradza Listem Pochwalnym kaprała Gołubiewą Zoję za wysoką dyscyplinę i wzorowe wykonywanie zadań bojowych. Dowództwo wyraża nadzieję, że dalej nie będzie szczeni swych sił i nawet życia by wysoko utrzymać honor swej jednostki i tym samym przybliżyć godzinę zwycięstwa nad faszyzmem hitlerowskim.

Niech żyje wolna i demokratyczna Polska!

Śmierć okupantom hitlerowskim!

Dowódca Pierwszego Samodzielnego Pułku Łączności podpułkownik Zarucki. Zastępca dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych porucznik Pisula”.

Nadziei dowództwa Zoja starała się nie zawieść — nie szczędziła ani sił, ani życia. Świadczy o tym i artykuł w gazecie armijnej i polski Krzyż Brązowy, który wrócił po tym otrzymała. O tym świadczy również podziękowanie Wodza Naczelnego Wojska Polskiego Michała Roli-Zy-mierskiego wyrażone w rozkazie dziennym nr 71 z 17 kwietnia 1945 roku — „za sforsowanie Odry i udział w walkach poza granicami państwa polskiego”.

Dzień Zwycięstwa Zoja Andrejowna świętowała w odległości 28 kilometrów od Berlina. Cóż to był za dzień! Od trzeciej w nocy do dziewiętej rano wiwatowano ze wszystkich rodzajów broni, łącznie z ciekawymi samolotów.

— W miarę upływu lat uczucia i emocje przysysają, ale kiedy przeglądając swoje pamiętki, ogarnia mnie radość z dobrze spełnionego obowiązku wobec mojej ojczyzny i wobec bratniej Polski.

Uczucie to znajduje potwierdzenie w jeszcze jednym dokumencie wziętym przez Wydział Polityczny i Armii Wojska Polskiego.

„Kapralowi Gołubiewej Zoi Andrejownej... Ramie w ramieniu z braterską sojusznicą Armią Czerwoną, walcząc pod dowództwem generała broni Stanisława Popławskiego, Ty, żołnierzu Pierwszej Armii, wyzwoliłaś Warszawę. Przez Bydgoszcz, Złotów, przez Wał Pomorski doszedeś w krwawej walce do Bałtyku, do Kołobrzegu, Gdyni i Gdańska. Poprzez krew i pot walki zwróciłaś Ojczyźnie wolność. Granica Odrodzonego Demokratycznego Państwa Polskiego wróciła na swe prawowite miejsce nad Odrą i Nysą. Nad pokonanym Berlinem zaplotały obok sztandarów sojuszników również biało-czerwone sztandary wolności i niepodległości. Zwycięstwem zakończyła się tysiącletnia walka narodu polskiego ze swym odwiecznym wrogiem — Niemcami. Wróg jest rozbity! Zwycięstwo należy do nas!

Spełniając wolę ludu polskiego w braterskiej broni z sojusznicą Armią Czerwoną poczuła się Polska krajem demokratycznym, krajem, gdzie władzę sprawuje lud i w imię ludu.

Cześć Tobie i chwała, żołnierzu Pierwszej Armii Wojska Polskiego! Wieczna niech będzie pamięć o poległych w walce o wolność i niepodległość Ojczyzny!”.

Po zakończeniu wojny byłego kaprała Wojska Polskiego czekała jeszcze niejedna surowa próba sił i życia: śmierć ojca, a wkrótce potem również brata Aleksieja, który został ciężko ranny w walce powietrznej nad Polską. Później okazało się, że ukrywając przez całą wojnę własnej choroby postawiło i jej życie pod znakiem zapytania. Ale Zoja nie ułomna poddała się rozpacz. Aby ją pokonać ta ciężka chora kobieta rozpoczynała na nowo zaoczne studia w Iwanowskim Instytucie Pedagogicznym i kończy je w 1952 roku. Mimo polecenia lekarzy nie chciała porzucić pracy w szkole. Lecz operacja stała się nieunikniona, a po niej Zoja Andrejowna żyje tylko z kawałkiem żółdka, na którym trzyma się trzustka. Musiała iść na rentę.

A jednak nie umie żyć tylko dla siebie. Pracuje jako społeczny przewodnik w muzeum. Pomaga swojej rodzinie. Opiekuje się i wychowuje syna swojej siostrzenicy. Chodzi na zbiórki pionierskie i opowiada młodzieży o bohaterstwie Polaków w czasie II wojny światowej, o Warszawie, o Polsce.

Siuchając Zoi Andrejowny nawet nie zauważyłem, że w pokoju zrobiło się zupełnie ciemno. Gospodyni włączyła światło i dopiero wtedy zauważyłem, że jej oczy są pełne łez.

Przełożyła: SABINA KOCZNOW-NOWICKA

RUDOLF GOŁOWIN

KAPRAL ZOJA



Foto: Archiwum

dzenie dotyczące obecności na niedzielnych mszach polowych. Zoja Gołubiewa była ateistką, a obrządku rzymsko-katolickiego w ogóle nie znała, więc znów trzeba się było uczyć. A w ogóle nauki i musztry było pod dostatkiem. Dowódca I-szej Armii Zygmunt Berling miał zwyczaj mówić: — Ciężko na ćwiczeniach — za to lekko w bitwie, i to była najprawdziwsza prawda. Żołnierze nie mieli doświadczenia bojowego, wielu nigdy dotąd nie trzymało broni w ręku, brak było kadry oficerskiej, chorążych, specjalistów wojskowych.

Dwunastego października 1943 roku w miejscowości Lenino na Białorusi Pierwsza Dywizja Wojska Polskiego imienia Tadeusza Kościuszki, przeszła swój chrzest bojowy. Zoja Andrejowna dokładnie i w szczególności pamięta ten dzień.

— Żołnierze walczyli nieźle i z ogromnym poświęceniem — opowiada Zoja, a oczy jej stają się nagle nieobecne, zapatrzone we własną pamięć.

— Do ataku szli wyprostowani i z rozwiniętym sztandarem. Mimo wielkich strat tyralieri Polaków nie załamały się i zadanie bojowe — wyzwolenie Lenina — zostało wykonane z honorem. 243 żołnierzy i oficerów otrzymało za tę walkę order i medale, trzem nadano tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Udział regularnych oddziałów Wojska Polskiego w walce z Niemcami odbił się szerokim echem w całej Polsce.

Łącznościowcy mieli dużo pracy. Sukces każdej operacji zależał przecież od tego, jak szybko przekazane zostaną dane zwiadu, wiadomości o przegrupowaniach przeciwnika. Telexy pracowały przez całą dobę. Zoja Gołubiewa było trudniej niż innym: ukrywała przed lekarzami poważną i groźną chorobę żółdka, zaś najbardziej pilne i ważne depesze zlecano właśnie jej, gdyż sztyrowała szybko i bezbłędnie.

A. Gołubiewej został wręczony radziecki medal „Za zasługi bojowe”.

— Nigdy nie zapomnę początku stycznia 1945 roku, — mówi w zadumie Zoja Andrejowna. — Pierwsza Armia Wojska Polskiego miała już za sobą duże doświadczenie bojowe. Wszyscy rwali się do walki. Ich niecierpliwość można było zrozumieć: uchodzący polscy, którzy przedostawali się do nas, żołnierze podziemia, partyzanci opowiadali o bestialskich wyczynach okupantów hitlerowskich wobec Polaków. Do dziś pamiętam młodą dziewczynę, odzianą w jakieś podarte łachmany, której wprost cudem udało się wyrwać z piekła Warszawy. Na jej oczach rozstrzelano matkę, ojca i brata. Nie miała już nikogo na świecie i nie miała sił do życia. Pragnienie wyrwania krzywd, zapłaty za lata pogardy, za śmierć bliskich żyło w sercu każdego Polaka. Już od jesieni o noc widzieliśmy za linią frontu ogromną purpurową chmurę, słysząc było wybuchy. Niemcy pedantycznie i metodycznie niszczyli stolicę Polski. Z przesłuchań jeńców wiadomo było, że Hitler rozkazał bronieć linii Wisły aż do ostatniego żołnierza. Mówiono, że Warszawa przygotowana jest do odporu jak twierdza i że zdobycie jej będzie kosztowało wiele ofiar.

Po kilku dniach razem ze swą koleżanką Szurą Basmakową Zoja kroczyła po ulicach wyzwolonej Warszawy. Po ulicach? To się tylko tak mówi, bo przecież miasto nie istniało — to były potworne usypiska gruzu, ruiny ciągnące się na wiele kilometrów. Później dowiedzieliśmy się, że Hitler dał rozkaz zetrzeć miasto z powierzchni ziemi, że barbarzyńsko zniszczono 85 procent powierzchni miasta. A wówczas zdawało się jej, że nie ocalał ani jeden dom i przerażenie ścisnęło gardło.

— No jak tam jest? — zapytały polskie koleżanki po ich powrocie, a one opowiadały i płakały razem z

TEATR

„DEKAMERON” I LALKI

Pięć spektakli, zrealizowanych w ubiegłym i w tym sezonie przez PANISWO-WY TEATR LALEK (dawniej „Pinskio”), stanowi zestaw propozycji teatru nie-społecznego, poszukującego form, gatunków i stylów, nie stroniącego od tematów śmiałych, a nawet drastycznych. Są to równocześnie propozycje teatru przeciwstawiającego się tym stereotypom, jakie nakładają się na pojęcie „teatru kukielki” przeznaczonego wyłącznie dla dzieci. Młody i starszy widz jest tu traktowany równorzędnie, jako partner, a nie obiekt do „głaskania po głowie”. Zarazem, wbrew innym schematom myślenia, teatr ten chce wyprostować zgiętego za parawanem aktora, wyprowadza go stamtąd i stawia „żywego” obok a mając za laika. Dla środków sobie właściwych poszukuje ambitnego repertuaru, wcale nie gorzszego niż ten, na który stać sceny dramatyczne.

Henryk Cyganik poszedł za radą samego Boccaccia, aby braci z jego 100 opowieści, co komu przypada do gustu. Z dużą swobodą potraktował tekst oryginalny. Adaptację uzupełniają cztery inne opowieści „straszeczenia” w „piosenkach z morałem”. Choc w pomysły adaptator inspirował się zapewne obecnymi w teście milosnymi kanczonami, słowa ballad mają charakter samodzielny i tworzą — wraz z muzyką Krzysztofa Szwałgięra, znanego choćby z twórczości kompozytorskiej dla krakowskiego teatru „STU” — utwory odrębne, nie pozbawione cech „przebojów”. Z fabułą „Dekameronu” postąpił H. Cyganik rozsądnie, pozostawiając jej mniej lub bardziej wierny upraszczając ją i inaczej rozkładając puenty.

Sila spektaklu polega, moim zdaniem, na tym, że jego realizatorom udało się „przystosować” „Dekameron” do teatru lalek i aktora, w jego tworzywie znaleźć dla dzieła literackiego sceniczne odpowiedniki inspirowane tekstem opowieści. To, co u Boccaccia jest narracyjne, epickie, co jest opowiadaniem oralnym, włożone zostało w usta pary narratorów: Giovanni (portre-parole autora) i Marii, nie tylko imieniem przypominającej Marię d'Aquino, Muze pisarza, Narrator w scenicznym „Dekameronie” to nie tylko ten, który zdradzając swe epickie pochodzenie wywołuje sytuacje i bohaterów, opowiada akcje nie przedstawioną bezpośrednio, dowodząc swojej wszechwiedzy, czy komentując zdarzenia. On jednocześnie „uczestniczy” w akcji „tworząc” ją na oczach widzów — biorąc lalki do ręki i ożywiając postaci; identyfikując się z nimi odśladając zarazem mechanizm gry aktorskiej.

Symetrycznie widokowi nadaje wdzieczna i niejednoznaczna, powracająca parokrotnie kłama choreograficzna. Tańcząca we własnym „wewnętrzny” pianie postać kobieca (dystans do widza zapewnia jej parawan, ale jego przezroczyście i nagłość postaci dystans ten zarażają i odwracają) jest obrazem tyż konkretnym, fizycznym, co odrębnym symbolem pięknym.

Spektakl wystawiany jest w sali prób i fakt ten nie musi być wcale przedwidzany. Wybor miejsca i uytuowanie widzów (siedzą oni przy stolikach nad lampką wina) nie są przypadkowe. Pozwalają na dość swobodne traktowanie scenicznej luźności, na obniżanie umowności, pokazywanie „szwów” pracy aktora. Nie szkodzi widowni występujący za parawanem czubek głowy animatora czy jego cień poturczający się na płaszczyźnie parawanu. W ten sposób tworzy się wręcz jeszcze jeden, wewnętrzny plan. Jednocześnie jednak zachowano teatralny sztafż (stylowe kostiumy, narratorskie rekwizyty). Pewna „naturalność” cechuje jedynie wygląd grupy „żywych” aktorów.

Jaki jest sens tych zabiegów? Bezspornie ułatwiają one kontakt z widzem, bardziej intymny, skoro mowa tu o rzeczach... intymnych. Kontakt ten nie ma w sobie nic z pseudowangardowego „atakowania” widza. Nawijając się ma on raczej przez „aluzje dla dorosłych”, bezpośrednie zwroty i uwagi „moralne” zawarte w dialogach i w piosenkach. Takt i odpowiedzialność porcję są zatem zachowane. Plan główny widokowy to ten, w którym królują lalki.

Dzięki laikom i balladom nie tylko pogłębia się erotyczna aluzyjność „Dekameronu”, ale i wzbogaca się charakterystyka „psychologiczna” postaci. Przykładem może być bohater „miłosnej przysługi”, Calandrino, brzydki, śmieszny i głupi, który oczekując zadośćuczynienia swej „chci” śpiewa obsceniczną piosenkę, rymując prostacko.

W ambivalent inencjach „Dekameronu”, będącej propozycją gry czy zabawy między luźną a niszczącą teatralną, między umownością a naturalnością, między dystansem a negacją tego dystansu w kilku różnych kierunkach i na kilku planach, między niewątpliwym realizmem oryginalnym a poetyką i groteskową jego sceniczną wizją, odpowiedzialność aktora rośnie i to nie tylko „za siebie” i za „swoją lalkę”, jak to tradycyjnie w teatrze lalek bywa. W „Dekameronie” Jerzego Michalaka każdy aktor obciążony jest 3-4 lalkami a oprócz tego śpiewa w „żywym” pianie, zaś para aktorów (Kryśna Filipiak i Tadeusz Wojtan) oprócz ról lalkarskich dzwiga na sobie — w postaci narratorów — szczególną odpowiedzialność za rytm i płynność spektaklu.

Należy się jednak spodziewać, że po premierowym „sejle” młodzi odmiłodzony zespół (w jego 9-osobowym składzie aż 6 adeptów!) usunie pewne niedociągnięcia w tekście i dykcji, a gra aktorów nabierze jeszcze większej elastyczności i odporności na czyniącej w złożonej materii widokiska niespodzianki, co umożliwi bardziej precyzyjną realizację założeń reżyserskich.

TOMASZ SOLDENHOFF

Państwowy Teatr Lalek — Scena dla dorosłych. H. Cyganik: Dekameron wg G. Boccaccia. Reżyser: J. Michalak, scenograf: A. Włodarczyk, muzyka: K. Szwałgięra, aranżacja muzyczna: M. Jaszcak.

OBYCZAJE

DLACZEGO PIENIĄDZ JEST TAK WAŻNY?

Wśród młodzieży Hamburga rozpisano ankietę. Jej zawołanie brzmiało: — Czy pieniądź jest w życiu aż tak ważny? —

Poniżej niektóre odpowiedzi:

„Ciągłe bębni mi w uszach muzyczny szlagier, money, money, money, rich man, rich man... bo rzeczywiście pieniądź zastąpił dziś dawne wartości duchowe. Liczy się prestiż. Bez pieniędzy prestiżu nie ma. Nie istnieje. Nieustanna krzykliwa reklama sprawia, że każdy chciałby posiadać jak najwięcej tych nowych rzeczy. Śnią się po nocach. Żeby jednak z krainy marzeń dostać się na grunt rzeczywistości, trzeba mieć dużo pieniędzy. Bez nich ani rusz.

Olga Findrath, 19 lat

„Moim zdaniem przysłówie, „biedny idzie wcześniej do grobu”, jest słuszne. Człowiek zamożny wzywa do siebie brodatych profesorów na konsultacje. Ma na to. Człowieka biednego goni się na różne badania po różnych ambulatoriach. A nic to nie daje prócz rychłej śmierci. Jak biedak wręci się w jakiś wypadek drogowy, to od razu leży na obu łopatkach. Bo ten bogatszy wynajmuje sobie wyszukanego adwokata, który dobrze wie w jaki klawisz uderzyć. Pieniądź obok drobniny inteligencji to rzecz w życiu najważniejsza”.

Elisabeth Guenther 18 lat

„Dlaczego pieniądź jest tak ważny? Zaraz to wytłumaczę.

Max Jedermann (Jan Kowalski) zrywa się z łóżka i weiska w koszulę — 19.80 DM. Zakłada dzinsy — 70.60 DM. Wskakuje na „moped” — 1500 DM + podatki + ubezpieczenia + opłaty za prawo jazdy. Jedzie do szkoły. Po lekcjach wpada do kawiarenki na małą kawę z białym 4.49 DM. Wieczorem Max Jedermann znów wsiada na „moped” i leci do ukołnej. Zasiada z najdroższą w dyskotekcie. Wraca stamtąd do domu uboższy o 20.00 DM.

Dlatego pieniądź jest aż tak ważny”.

Armin Reith, 19 lat

„Czemu służą pieniądze? To proste. Pieniądź uzależnia dzieci od rodziców. Rodzice mogą nam niczego nie zakazywać. Starczy, że nam odetną dopływ kieszonkowego. Wtedy nie się nie da zrobić. Przy pomocy pieniędzy rodzice trzymają nas jak na sznurku. Bez pieniędzy każdy staje się bezsilny i bezradny”.

Alexandra Stuck, 16 lat

„Kto modli się tylko do pieniędzy staje się „konsumpcyjnym atletą”. Skala wartości są dla niego wyłącznie marki. Medalem za wyczyn jest dla niego najnowszy model mercedesa. Czy taka fetyszystyczna pieniądź ma jakikolwiek sens? Amerykańskie przysłowie głosi, „co z tego, że jest się najbogatszym człowiekiem na ementalu?” Pieniądź nie jest celem w życiu. Pieniądź może być tylko środkiem do celu”.

Arno Falkbein, 16 lat

„Mówi się, że pieniądź rządzi światem. I tak jest w rzeczywistości. Rozzejrzyjmy się wokół. Kogo nazywa się społecznym mędrem i wyrzutkiem w naszym rozwiniętym społeczeństwie przemysłowym? Oczywiście biedaka. Jak kto jest biedny to jest podejrzany. Kto nie ma pieniędzy, jest nieczysty. Im zaś kto ma więcej pieniędzy, tym więcej ma władzy. Co pieniądź daje? Ja bym spytał, czego nie daje?”.

Carsten Ranze, 18 lat

„Pieniądź otwiera wszystkie drzwi. Tego nie da się zaprzeczyć. Pieniądź gwarantuje powodzenie, ułatwia życie, przynosi mnóstwo miłych chwil. Co dużo mówić, pieniądź jest w życiu niezbędny. Ale czy jest wszystkim? Gdyby tak było, to czemu tylu multimilionerów odchodzi rozgoryczonych w zupełnej samotności. Dlaczego tyle sławnych i przebogatych gwiazd filmowych kończy samobójstwem? Czy to nie dowód, że pieniądź, choć ważny, nie jest dla szczęścia najważniejszy?”.

Eugen Barun, 18 lat

Od komentarzy wstrzymuję się. Są niepotrzebne. Myślę, że przytoczone wypowiedzi są dostatecznie wymowne i w jakiejś mierze wysoce charakterystyczne. Pieniądź kupuje wiele rzeczy, nie kupuje wszakże niczego co wzniosłe.

HARHARA

WYBRZEŻE

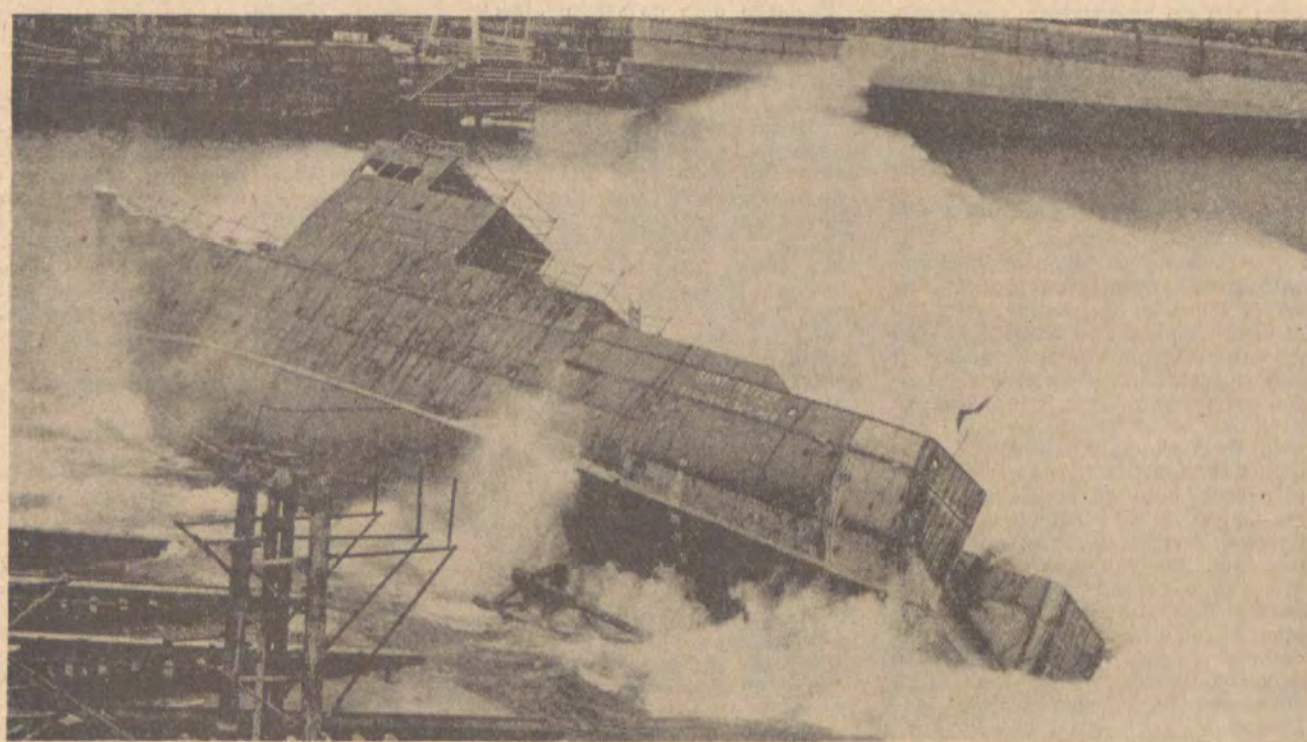


Foto: Archiwum

W GDAŃSKU DO MORZA DALEKO

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

jest dalej na północ. Morze jeszcze dalej. Za zakrętem Pięciu Gwizdów, za Westerplatte i Portem Północnym.

Morze będzie celem tysięcy turystów, którzy tu zjadą w lipcu i sierpniu. Wypoczywać nad morzem, być latem nad morzem — to marzenie, które troskliwie pielęgnuje się przez cały rok, aby spełnić je przez krótkie dwa lub cztery tygodnie. Wprawdzie sezon nad morzem trwa 3,5 miesiąca, ale liczą się tylko lipiec i sierpień. I to nawet niepełnie, bo koniec sierpnia jest już pustym sezonem.

— Dlaczego tak się dzieje? — zapytałam gdańskiego specja od turystyki.

— To bardzo proste — odpowiedział. — Sezon dzieli się na 7 turnusów po 14 dni. To daje w sumie 3,5 miesiąca. Taką możliwość tworzą warunki klimatyczne. Ale wprowadzony niedawno nowy układ wakacji w szkołach niweluje to założenie, gdyż pierwsze dwa tygodnie czerwca i ostatnie dwa tygodnie sierpnia nie są właściwie wykorzystywane.

Istotnie. W pierwszej połowie czerwca na Wybrzeżu Gdańskim było 5 tys. wolnych miejsc. Ale jeśli policzyć też wolne w tym czasie kwatery, wolne miejsca w ośrodkach różnych przedsiębiorstw, to okaże się, że rezerwa jest znacznie większa. Czy można ją wykorzystać? Myślę o tym w Okręgowym Biurze Skierowań FWP w Gdańsku. Myślę o tym tylko o zainteresowaniu wolnymi miejscami różnych przedsiębiorstw, ale też i o tym, aby wolne miejsca sprzedawać indywidualnym turystom i bardzo słusznie.

W Gdańsku byłem krótko przed właściwym sezonem. To znaczy w czasie, kiedy o sezonie trzeba myśleć intensywnie i do tego sezonu przygotować się. Ale jak już wspominałem, nie wszyscy o tym myśleli. „Głos Wybrzeża” alarmował: „Stońce przyciąga — śmietnik odstrasza”. Z reporterskiego rajdu wynikało, że na plażach i w przybrzeżnej wodzie pełno było śmieci. I tak było w Sopocie, w Jelitkowie, Brzeźnie, Stogach.

Ruszyła już „mała gastronomia”, czyli agencje smażalnie ryb, różna, budki z lodami, kioski spożywcze. Nie wszędzie może jeszcze na pełnych obrotach. Widać już jednak przygotowania do sezonu. Ale tak jak na plażach, plasek przykrywa jesienne śmiecie, tak pod kioskami, rożniami i różnego rodzaju budkami pełno kapsli i butelek od piwa i oranżady, papierowych naczyń, papieru i niedopałków papierosów. Ale „mała, agencyjna gastronomia” jest bardzo potrzebna, gdyż stanowi uzupełnienie dużej. Lokuje się ona w pobliżu plaż, pół namiotowych, kampingów. Nie cierpi na brak klientów.

Śmiecie, które zwróciło uwagę reporterów „Głosu Wybrzeża”, a także pierwszych turystów i plażowiczów, nie wzięło się samo z siebie, nie

przygnały je jesienne wiatry, ani nie przyniosło morze. Zostało po ubiegłorocznych letnikach. Po tych, których tu się nazywa nie bez powodu „stonką wczasową”. Pobyt na urlopie nie zwalnia z obowiązku kulturalnego zachowywania się. Niestety, wielu wczasowiczów bierze urlop nie tylko od pracy, od rodziny, miasta, środowiska, od kultury i dobrych obyczajów też.

Do pełni sezonu było jeszcze kilka dni, a w Gdańsku widać już było, że zaczęło się lato. Na kolonie przyjechały pierwsze turnusy. Do Gdańska pierwsze wycieczki. Na Długim Targu, gdzie Fontanna Neptuna, pełno turystów. Słyszysz się język niemiecki, angielski, szwedzki. No i polski oczywiście. Watahy harcerzy, kolonistów obiegają kioski z pamiątkami, kupują kartki pocztowe, jako że trzeba pozdrowienia wysłać znajomym, kolegom i rodzinie, pochwalić się, że było się w Gdańsku. A Fontanna Neptuna, pamiętająca XVII wiek, bo zaprojektowana przez Abrahama van den Bloeka w 1613 roku, a odlana przez P. Husena w 1615 roku, akurat w remoncie. Fontannę tę odbudowała Stocznia Gdańska im. Włodzimierza Lenina, ale przez lata nikt jej nie konserwował. No i nabierało się. Do tego doszły różnice kompetencyjne, bo dopiero w 1973 roku Miejski Zarząd Dróg i Mostów w Gdańsku przekazał fontannę, gdańskiemu oddziałowi Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, które w ubiegłym roku nie mogło wykonać niezbędnych prac konserwacyjnych, bo nie sprzyjały temu warunki atmosferyczne. W tym roku natomiast fontanna miała być gotowa na 31 czerwca.

— Panie, albo to pan nie wie, jak się u nas remontuje — powiedział mi zagadnięty gdańszczanin, który wypoczywał na ławce na Długim Targu. Aliści nie wiem, jak w Gdańsku, ale jeśli tak jak w Łodzi, to Długi Targ może być w tym roku pozbawiony jednej z atrakcji. A jeszcze dodać do tego fakt, że jedna strona Długiego Targu, przy której jest Fontanna Neptuna, znajduje się aktualnie w remoncie, to i Długi Targ traci cały swój urok. Aby turystów jakoś wynagrodzić bar „Pod Zieloną Bramą” otworzył kawiarnię pod parasolami na Długim Targu, gdzie jednorazowo może pomieścić się 240 osób.

II.

W Gdańsku do morza daleko, ale do historii blisko. Historia wplota się trwale w życie tego miasta. I to nie byle jaka historia. Tu rozgrywały się istotne dla biegu dziejów wydarzenia. Tu przecież zaczęła się druga wojna światowa.

Jak to było wszyscy dobrze wiemy. Napisano na ten temat książki, film nakręcono. Trochę mniej wiadomo na temat tego, co było przedtem. A przecież historia Gdańska, choć było to po 1919 roku Wolne Miasto Gdańsk, nierozdzielnie zwi-

zana jest z historią Polski. Traktat Wersalski, wbrew wszelkiej logice, ale zgodnie z interesami politycznymi zachodnich mocarstw, odcinał Polskę jedyną drogą do morza, jedyną i niezbędny jej wówczas port. Naturalną koleją rzeczy musiała Polska wybudować sobie inny port, aby uniezależnić się od Wolnego Miasta Gdańska, coraz wyraźniej spozierającego w stronę Niemiec, gdzie do głosu dochodzili hitlerowcy.

Nim to się stało, w listopadzie 1920 roku, podpisana została konwencja paryska, na mocy której Polsce odebrano prawo do samodzielnego korzystania z portu w Gdańsku. Rok przed tym, kiedy jeszcze obradowali w Wersalu zwycięscy, Polacy ogłosili memoriał, w którym dowodzili, że Gdańsk jest Polsce potrzebny tak samo, jak Polska Gdańskowi, przypominali, że Gdańsk dwukrotnie został siłą odłączony od Polski, raz w 1308 roku, a drugi raz w 1793 roku, dowodzili dalej, że Niemcom Gdańsk nie jest potrzebny, gdyż mają inne porty i o Gdańsk nie dbają. Gdańsk i Polska stanowiły jeden organizm polityczny i ekonomiczny. Ale w 1919 roku Gdańsk po raz trzeci został od Polski odłączony i wszystko, co działo się później było już tylko tego konsekwencją. Układ paryski między Polską i Gdańskiem również. Był to układ, który odbierał Polsce możliwość pełnego korzystania z portu, ograniczał możliwość zimowania polskich okrętów wojennych. Polska mogła eksportować i importować przez Gdańsk, ale to nie było to samo, co posiadanie własnego portu.

W tymże samym 1920 roku wynikała potrzeba sprowadzania do Polski, uwikłanej w wojnę z radziecką Rosją, broni i amunicji. Sprowadzać je można było tylko przez Gdańsk, ale Gdańsk nie należał do Polski. Wysłał więc we wrześniu 1920 roku oddział wojska polskiego, dla ochrony importowanej przez port w Gdańsku broni i amunicji. Następnego roku, zaraz na początku, senat Wolnego Miasta Gdańska wystąpił z żądaniem wycofania polskich żołnierzy. „Sprawa oparła się o Radę Ligi Narodów, ale, jak to wówczas w Lidze Narodów bywało, walkowano ją przez trzy lata i dopiero w marcu 1924 roku zdecydowano, że miejscem wyładunku materiałów wojskowych będzie w Gdańsku półwysp Westerplatte.

Półwysp Westerplatte był częściowo zamieszkały, trzeba więc było wykwaterować z niego ludzi, były tam też łazienki, zakład kuracyjny, hala nadbrzeżna, kupione zresztą już w 1919 roku przez polską spółkę Bank Związków Spółek Zarobkowych w Gdańsku. Wykwaterowanie szło ospale i dopiero w październiku 1925 roku ostatnie rodziny opuściły Westerplatte.

Westerplatte zostało przekazane na własność Radzie Portu i Dróg Wodnych, która zarządzała portem w Gdańsku i w skład której wchodziło 5 przedstawicieli Polski i 5 przedstawicieli Wolnego Miasta Gdańska. Dopiero Rada Portu i Dróg Wodnych

przekazała Westerplatte Polsce w bezterminowe i bezpłatne użytkowanie. A więc był to teren, na który mieli prawo wstępu zarówno urzędnicy Wolnego Miasta Gdańska, jak i Rady Portu i Dróg Wodnych. Liga Narodów wyraziła też zgodę na stacjonowanie na Westerplatte 88 polskich żołnierzy. Oprócz nich miało być tam 17 pracowników cywilnych. Tak było na początku. Przed wybuchem wojny w 1939 roku było na Westerplatte około 210 Polaków.

Historia Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte zaczęła się właściwie w 1926 roku. Wybudowano basen, magazyny, a w późniejszym terminie koszary, wartownię, elektrownię. Istnienie i rozwój Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte budził wśród ludności niemieckiej Wolnego Miasta Gdańska nastroje antypolskie. Ale też dla gdańskiej Polonii ten skrawek nadbrzeża, brzoń i chroniony przez polskich żołnierzy był moralnym oparciem. Przedstawiciele Polonii z Gdańska brali udział w obchodach wszelkich uroczystości państwowych na Westerplatte.

Była to historia nieustannych napięć i konfliktów, a nasiliły się one od roku 1933, kiedy to w Niemczech władzę objął Adolf Hitler, a gdańscy hitlerowcy poczuli się silniejsi. Już w lutym doszło do ostrego konfliktu, kiedy wycofano z portu straż portową i zastąpiono ją gdańską policją. Wtedy Polska, czując się zagrożona w swoich prawach na Westerplatte, wysadziła na półwyspie 6 marca 1933 roku desant w sile 120 żołnierzy, których na Westerplatte przywiózł transportowiec Marynarki Wojennej „Willi”. Sprawa znów znalazła się w Radzie Ligi Narodów i 14 marca 1933 roku władze Wolnego Miasta Gdańska zobowiązały się do przywrócenia w porcie straży portowej, a Polska do wycofania desantu. Skoro tylko pojawiła się w porcie straż portowa, „Willi” odplynęła do Gdyni wraz z desantem.

Po tym incydencie zaczęto budować na Westerplatte umocnienia. Rafał Witkowski cytuje w książce „Westerplatte, Historia i dzień dzisiejszy” fragment relacji ówczesnego komendanta Westerplatte, majora Stefana Fibaszewskiego:

„Wszyscy żołnierze i cywile pracowali przy budowie umocnień i porządkowaniu terenu bardzo starannie i wydajnie. Nikt dotąd nie opisał ich ogromnego wysiłku. Nikt o nich nie pamięta. Z głębokim sentymentem wspominam tych niezwykle ofiarnych ludzi. Bez udziału załóg wymiennych (około 600 ludzi) w latach 1933—1938 budowa koszar i przygotowanie terenu do obrony nie byłoby możliwe. Węgi oni są aktorami wielkiego dramatu.”

Pierwszym komendantem Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte był komandor por. Ignacy Szaniawski. Po nim kolejno: komandor ppor. Borys Mohuczy, komandor por. Józef Czechowicz, kpt. Jan Litwiński, major Stefan Fibaszewski i wreszcie major Henryk Sucharski. Ostatni rzut żołnierzy na Westerplatte wystawiła 2 Dywizja Piechoty Legionów w Kielcach. Pierwszą grupę żołnierzy jadących do Gdańska zegnał w Kielcach podpułkownik Zygmunt Berling.

„Służba nasza na Westerplatte — cytuje Rafał Witkowski — wypowiadz chorążego Jana Gryczmana — po złuzowaniu dotychczasowej załogi była bardzo ciężka; stale byliśmy w pełnym pogotowiu, tym bardziej, że załoga jeszcze niezbyt dobrze знаła teren, urządzenia i stosunki panujące w Gdańsku. Byliśmy pewni, że lada dzień wybuchnie tak szumnie zapowiadany „pucz gdański”, toteż każde skupisko ludzi czy też pojedynczy wystrzał wywoływały alarm i wprowadzały atmosferę zdenerwowania. Właściwie nigdy nie można było przewidzieć, co przyniesie następna minuta, tym bardziej, że od Niemców oddzielał nas tylko mur grubości pół cegły lub zwykły płot kołczasty.”

25 sierpnia 1939 roku do portu w Gdańsku wypłynął okręt liniowy „Schleswig-Holstein”. 1 września 1939 roku o godzinie 4.45 salwy tego okrętu skierowane na Westerplatte rozpoczęły drugą wojnę światową. Garstka polskich żołnierzy, których zadaniem było bronić się najwyżej 36 godzin, wytrzymała napór hitlerowców aż do 7 września 1939 roku.

W Gdańsku historia wszędzie jest obecna i ściśle spleta się z teraźniejszością. Wybierając się na Westerplatte, do miejsca gdzie zaczęła się druga wojna światowa i które przez wszystkie lata swojej historii było najdalej wysuniętą placówką Polski, nieustannie narażoną na niebezpieczeństwo, trzeba minąć Port Północny. Historia tak zrzuciła, że na niewielkim cyplu głęboko wrzynającym się w Zatokę Gdańską, umieszcila dwa symbole Polski: Westerplatte — symbol polskiego bohaterstwa i Port Północny — symbol nowoczesności, postępu i polskich ambicji.

MAJ 1942: ZAMACH W PRADZE

DER SPIEGEL przedstawił na podstawie książki Rudolfa Stroebingera „Das Attentat von Praga” nową wersję dokonanego w 1942 roku w Pradze zamachu na zastępcę protektora Czech i Moraw — Reinharda Heydricha. Publikujemy fragmenty tego artykułu.

Gdy zamachowcy w Pradze ruszyli do ataku, ich ofiara była niemal niestrzeżona. Żaden strażnik nie chronił człowieka, który jechał w otwartym samochodzie przez miasto, w ślad za samochodem nie jechały żadne inne, ubezpieczające go pojazdy. Poślisk zrucony przez zamachowców dosięgnął jednego z najstraszniejszych i najkrwawszych funkcjonariuszy Trzeciej Rzeszy — Reinharda Heydricha, Obergruppenführera SS, szefa policji bezpieczeństwa i SD, zastępcę protektora Rzeszy w Czechach i Morawach. W 8 dni po zamachu, 4 czerwca 1942 r. Heydrich zmarł w wyniku poniesionych ran. Do dnia dzisiejszego pozostaje jednak zagadkowe i nie wyjaśnione pytanie: dlaczego Heydrich czuł się tak bezpiecznie?

Z dostępnych obecnie akt czeskiego ruchu oporu wynika, że Heydrich mógł czuć się bezpiecznie, ponieważ nawet czeski bojownicy ruchu oporu pragnęli, aby ten straszny władca nie padł ofiarą zamachu. Autor książki „Das Attentat von Praga”, Rudolf Stroebinger pisze, iż prasie kierownictwo czeskiego ruchu oporu do ostatniej chwili sprzeciwiało się zaplanowanemu i nakazanemu przez czechosłowacki rząd emigracyjny w Londynie zamachowi na Heydricha. Stroebinger stwierdza:

„W Pradze wiadano aż nadto dobrze, jakie będą następstwa zamachu na Heydricha — najkrwawsze represje skierowane przeciwko całemu narodowi”.

Po likwidacji najważniejszych czeskich grup ruchu oporu przez Gestapo i SS, we wrześniu 1941 r. Heydrich zaczął pozyskiwać sobie pewne grupy społeczne. Tylko spektakularny wyzysk mógł zahamować tendencję do wzrostu kolaboracji z nazistami. Wyzysk taki, to zastrzelenie Heydricha, bądź też jednego z jego czołowych współpracowników.

Już w początkach października 1941 r. prezydent Benes wezwał swego ministra obrony, gen. Ingrá, do swej siedziby w Aston, niedaleko Londynu i przekazał mu polecenia, które skłoniły ministra do natychmiastowego wezwania szefa wywiadu, pułkownika Franciszka Moravęca. Następnego dnia Moravec we własnym biurze przyjął kilku oficerów i wyjaśnił im, o co idzie. Oświadczając, iż nadszedł czas, aby Niemcy zapłacili za swoje zbrodnie i aby zapłata ta została im przekazana w postaci śmierci jednego z prominentnych funkcjonariuszy. Nie zdecydowano się jeszcze ostatecznie, kto miał być ofiarą zamachu. Dwa nazwiska znalazły się na czele listy. Heydrich i jego najbliższy współpracownik, minister stanu Karl Hermann Frank.

Dwa czechy sierżanci zgłosili gotowość do wykonania zamachu w specjalnej szkole w Szkocji odbywał ćwiczenia w szkole ze spadochronami, w strzelaniu i w trudnej sztuce ukrywania się i przeżycia po zamachu. W początkach grudnia obaj sierżanci zameldowali się znów w Londynie. Szef czeskiego wywiadu Moravec pokazał im zdjęcia Heydricha: — Przyjrzyjcie się bardzo dokładnie tej

fotografii. Ten człowiek ma zostać zabity!

W nocy z 28 na 29 grudnia 1941 roku czterech żołnierzy bombowców typu Halifax wystartował z lotniska Tangmore, na południu Anglii i obrócił kurs w kierunku na Pilzno. Na pokładzie samolotu znajdowali się dwaj sierżanci: 29-letni Jozef Gabčík i 28-letni Jan Kubisz. Obaj mieli wyskoczyć z samolotu w pobliżu Pilzna. Pilot jednak stracił orientację i gdy o godzinie 2.27 w nocy Kubisz i Gabčík wyskoczyli na spadochronach z samolotu, zamiast w pobliżu Pilzna, wylądowali w pobliżu Pragi. Ukryli się w kamieniolomie, potem zaś udali się w niebezpieczną drogę do Pragi, gdzie udało im się dotrzeć do organizacji ruchu oporu pod nazwą „Jindra”. Była to jedyna grupa ruchu oporu, której udało się uciec przed pościgiem Gestapo. „Jindra” kierowana była przez człowieka z czarnymi włosami, noszącego pseudonim „Ales”. Człowiek ten miał znakomicie zacięte własne ślady tak, że nikt z grupy nie wiedział, iż jej kierownikiem był nauczyciel chemii z morawskiego gimnazjum, który naprawdę nazywał się Ladislav Vanek.

Gdy Ladislav Vanek dowiedział się o zadaniu, jakie miała wykonać dwaj sierżanci, zamartwił z przerażenia: — Terror SS przekształcił się w krwawą lawinę — powiedział.

Podczas gdy w ciągu następnych tygodni sierżanci zasięgali informacji o przyzwyczajeniach Heydricha, Vanek wykorzystywał wszystkie swoje wpływy, aby zapobiec zamachowi. W końcu czerwca zwołał do Pragi przedstawicieli wszystkich działających jeszcze grup ruchu oporu. Mimo najostrożniejszych kontroli SS, przedstawiciele ci przedostali się z różnych miejscowości, nawet tak dalekich jak Pilzno czy Pardubice, do praskiej kryjówki. Również i oni byli jedynymi, którzy w ocenie skutków zamachu, uważając, iż doprowadzi to do zahamowania pracy ruchu oporu, i że trzeba wysłać do Londynu wyjaśnić, aby nie wykonywali rozkazu.

Obaj sierżanci pozostali jednak twardzi. Nawet argument, iż ich czyn poglądnie za sobą śmierć niezliczonych niewinnych ludzi, nie mógł odwieść ich od zamierzonego zamachu. Ze swej strony argumentowali, że są żołnierzami i muszą wypełniać rozkazy; tylko Londyn ma prawo wydać im inny rozkaz. Postawa obu sierżantów wyprzedziła z równowagą przedstawicieli praskiej organizacji ruchu oporu, Alfreda Burdosa. Był on najwyższym ranka oficerem, który brał udział w praskim spotkaniu i oświadczył szorstko Gabčíkowi:

— Tu jesteście na froncie i macie wypełniać rozkazy, które otrzymujecie od oficerów frontu w odczytanie.

Przedstawiciele ruchu oporu zorientowali się jednak, że sami nie dadzą sobie rady z sierżantami. Próbowali więc nawiązać kontakt z prezydentem Benesem i jego ministrami. Wysyłano do Londynu jedną depeszę po drugiej. Ladislav Vanek depeszował:

„Ten zamach nie będzie korzystny dla aliantów, dla naszego narodu zaś miałby on niemożliwe do przewidzenia skutki. Zagroziłby nie tylko zakładnikom i

więźniom politycznym, ale tysiącom innych ludzi. Jeśli zamach jest potrzebny z przyczyn politycznych to należy zastrzelić kogoś innego”.

Z Londynu nie nadeszła odpowiedź. W kilka dni później, w końcu maja 1942 roku nadszedł ostatni moment do wykonania zamachu. Później Heydrich miał odciec do kwatery głównej Hitlera. Zamachowcy obawiali się, że nie wróci on do Czechosłowacji, ponieważ wykonał swą pracę — kraj był spacyfikowany. Przedstawicielom ruchu oporu udało się w statniej minucie skłonić zamachowców do kompromisowego rozwiązania: Heydrich miał być uprowadzony i zabity tylko w razie ostatecznej konieczności. Jozef Gabčík zaakceptował tezę, iż Gestapo nie zainicjuje terroru, by nie zgrażyć tyłom zakładnika Heydricha. Miał on dokonać mistrzowskiej sztuki za pomocą swego pistoletu maszynowego: strzalił mały być skierowane do jadącego Mercedesa w ten sposób, aby zabili kierowcę i zranili Heydricha.

Nadszedł dzień 27 maja 1942 roku. Ukryci w pobliżu wybranego miejsca zamachu porwawcy czekali z karabkami samopowłocznymi. W karetce ranny Heydrich miał znaleźć się pod opieką lekarza. Według planu, karetka miała udać się na łake w środkowych Czechach, gdzie wszystkich zabraliby brytyjski samolot. Zamiast do rozpozeczenia zamachu miał być strzał oddany z pistoletu maszynowego Gabčíka. Gdy jednak samochód Heydricha znalazł się w odpowiednim miejscu, Gabčík nie wystrzelił — pistolet się zaciął. Zamiast niego, sierżant Kubisz rzucił granat, który trafił w prawy bok samochodu. Jednocześnie cały plan uprowadzenia spalił na panewce. Zamachowcy uciekli, gdy usłyszeli detonację granatu, szofer Heydricha, Klein, pukał się w pokań za obydwojema sierżantami, ciężko ranny Heydrich przez kilka minut leżał na opustoszałej ulicy.

Teraz — jak obawiali się bojownicy ruchu oporu — SS i policja hitlerowska zabrały się do pracy. Nad Czechami i Morawami rozlała się fala krwawego terroru i zemsty. Wsie Lidice i Leżaki zostały spalane, wszyscy mężczyźni rozstrzelani. W okresie od 28 maja do 1 września 1942 r. sady wojskowe w Pradze i Brnie skazały na śmierć 1337 obywateli czechosłowackich. Wreszcie SS, korzystając z pomocy zdrajcy, znalazła kryjówkę obu zamachowców i ich pięciu pomocników. Byli oni ukryci w krypcie praskiego kościoła Karola Boromeusza. Na kosiół ruszyło ponad 700 ludzi. Rozpoczęła się strzelanina. Trzej spiskowcy zostali zastrzeleni przez hitlerowców, czterech zastrzelili sami siebie ostatnimi nabojami.

Dla obu sierżantów koniec ich życia był jednocześnie końcem udręki. Pozostając pod wrażeniem codziennych mędrunków o coraz to nowych rozstrzelaniach, byli tak zdeprymowani, iż zastanawiali się nad wykonaniem szaleńczego planu: chcieli złożyć pisemne przyznanie się do winy na ręce ministra protektoratu Czech i Moraw, Emanuela Moravęca, najbardziej znienawidzonego czeskiego kolaboranta, potem zaś popełnić samobójstwo. Nie wykonali tego planu z takiej samej przyczyny, z jakiej wykonali zamach: z przyczyn militarnego posłuszeństwa i dyscypliny. Ich zwierzchnicy w Londynie nakazali im wykonanie zamachu, zwierzchnicy w Pradze kazali pisemnego przyznania się do winy.

KADRY

Dalszy ciąg ze str. 1

wiązkowym szkoleniem na mocy Uchwały 306/65 Rady Ministrów. Zajmujemy się tu doskonaleniem kwalifikacji głównie dyrektorów przedsiębiorstw i ich zastępców, poza tym takich służb, jak: głównych księgowych, mechaników, energetyków, technologów, szefów produkcji, kierowników działów zaopatrzenia, zbytu, zatrudnienia, ogólnie biorąc — kierowników podstawowych działów przedsiębiorstw. To jest nasza działalność podstawowa.

— A poza tym?

— Ośrodek prowadzi także kursy specjalistyczne i problemowe, np. kursy elektronicznego przetwarzania danych czy organizacji i zarządzania w ramach tzw. programu „ORIZA”, wspólnie z Ośrodkiem Ekonomiki i Organizacji Przemysłu Lekkiego „Ekono”, ponadto prowadzimy także kursy pedagogiczne dla instruktorów praktycznej nauki zawodu oraz kursy problemowe poświęcone zagadnieniom nowych technologii i nowych rozwiązań w organizacji produkcji. Ważnym odcinkiem naszej działalności są kursy na mistrzów dyplomowanych. Ostatni „krzyk mody” to kursy analizy wartości. Powstające w ich wyniku nowe rozwiązania produkcyjne przynoszą szybko określone efekty ekonomiczne. Np. jedno tylko z opracowań zespołu z

Czy wszyscy z nich są objęci szkoleniem w „DOSKO”?

— Wszyscy dyrektorzy są u nas zarejestrowani. Posiadamy odpowiednie adnotacje o szkoleniach odbytych przez każdego z nich. Co roku ustalamy wspólnie z dyrekcjami zjednoczeń listę osób, które mają być aktualnie objęte określonym rodzajem szkolenia. Niektórzy dyrektorzy są już w wieku przedemerytalnym, inni z różnych powodów odchodzą ze stanowisk kierowniczych, stąd pod uwagę bierzemy przede wszystkim tych, którzy dość długo jeszcze będą pełnić swe obowiązki. To gwarantuje nam w pewnej perspektywie przygotowanie kadry kierowniczej o odpowiednich kwalifikacjach.

— Jak często dyrektorzy objęci obowiązkiem doskonalenia kwalifikacji uczestniczą w szkoleniach?

— Przeciętnie co 5 lat.

— Przerwy są więc znaczne. To może mieć określony wpływ na aktualizację ich kwalifikacji zawodowych...

— Tak, ale w międzyczasie można także organizować dla nich inne kursy, typu specjalistycznego, poświęconego określonej problematyce, co zresztą czynimy.

— W jaki sposób uczestnicy kursów są zeń rozliczani?

— To bywa różne. Np. wykonują określone prace kontrolne pod kierunkiem promotora. Uczestnicy kursów analizy wartości wykonują róż-

SZKOŁA DYREKTORÓW

Lukowskich Zakładów Obuwia pozwoliło rocznie zaoszczędzić surowców na sumę 24,6 mln zł, przy jednym czesnym podniesieniu walorów użytkowych wyrobów.

— Jak wiem, działalność „DOSKO” nie ogranicza się tylko do organizowania i prowadzenia kursów, o których była już mowa...

— Tak, zajmujemy się także szkoleniem wykładowców prowadzących zajęcia w ośrodkach przyzakładowych, opracowujemy dla nich odpowiednie programy i całe tzw. oprzyrządowanie dydaktyczne. Uczestniczymy również w programowaniu kierunków doskonalenia w ukladach wieloletnich. Wreszcie zajmujemy się też produkcją audiowizualnych pomocy dydaktycznych dla potrzeb różnego rodzaju kursów, np. wytwarzamy pewną liczbę filmów i przełożyci z zakresu organizacji pracy, jakości produkcji, analizy wartości itp.

— Jaka jest skala działalności „DOSKO”, np. ile rocznie osób przewija się przez ośrodek?

— W roku 1976 w samych kursach profilowych, tj. obligatoryjnych i problemowych uczestniczyło ok. 3 tys. osób, natomiast w kursach dla tzw. niższego dozoru prawie 2 tys. osób. Tak więc rocznie przez ośrodek przewija się około 5 tys. osób.

— A jak liczna jest kadra ośrodka?

— W ogóle w ośrodku pracuje 57 osób, z tym że w działalności podstawowej, dydaktycznej i pomocniczej — 27 osób. Reszta to pracownicy administracji i gospodarczy. Jak widać, nie jest to zbyt liczny zespół przy dużych przeciętne zadaniach.

— Rzeczywiście. Jak więc sobie radzicie?

— Korzystamy z wykładowców spoza naszego ośrodka, np. z Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej, uczelni warszawskich, jak również ze specjalistów rekrutujących się z instytutów przemysłowych. Ostatnio minister Kunicki wyraził zgodę, aby niektóre wykłady specjalistyczne dla kadry dyrektorskiej prowadzili dyrektorzy departamentów Ministerstwa Przemysłu Lekkiego. Łącznie współpracuje z nami około 400 specjalistów różnych dziedzin.

— Kogo można by tu wymienić dla przykładu?

— M.in. stale współpracują z nami: prof. dr inż. Janusz Szosland z Politechniki Łódzkiej, prof. dr Halina Mortimer-Szymczak z Uniwersytetu Łódzkiego, dyrektor Instytutu Włókiennictwa PL doc. dr inż. Zbigniew Wawrzaszek, przewodniczący Komisji Szkoleniowej Stowarzyszenia Włókienników Polskich doc. dr inż. Tadeusz Kotaciński, wicedyrektor Departamentu Kadry i Szkolenia Zawodowego MPL inż. Krystyna Czechowska.

— Powróćmy do dyrektorów. W przemyśle lekkim jest ich około 1.600

nie opracowania wdrożeniowe, przynoszące w przypadku ich wykorzystania określone efekty ekonomiczne, o czym już mówiliśmy. Ocena słuchaczy jest także dokonywana przez cały okres trwania kursu, udział w zajęciach aktywnych, seminariach...

— Zdarza się więc i dyrektorowi pisać „klasówkę”?

— Można by to tak określić...

— Przedjdźmy do efektów działalności „DOSKO”. O korzyściach płynących z kursów analizy wartości już mówiliśmy. A inne?

— Mierzenie efektywności doskonalenia kadry jest sprawą bardzo złożoną i trudną, bo jakie tu przyjąć mierniki? Zasadniczym powinno być: Jakie będą tego efekty w pracy w przemyśle? Ja, gdy otwieram kurs, mówię słuchaczom, że chcemy im pokazać niektóre nowe metody pracy, patrzenia na różne sprawy. Ale my nie dajemy gotowych recept rozwiązań określonych problemów. Pokazujemy rozwiązania wzorcowe, ale na ile da się je wykorzystać w danym zakładzie, to już zależy od kwalifikacji, umiejętności człowieka, szefa zakładu.

— Stawiacie więc na myślenie...

— Oczywiście. Staramy się przede wszystkim pobudzić ludzi do myślenia. To jest naszym zasadniczym celem.

— Wspólne uczestnictwo w kursach zbliża ludzi do siebie, integruje. A przecież są to ludzie z tej samej branży. To także chyba przynosi pewne korzyści?

— To jest bardzo ważne. Często bowiem okazuje się, że ludzie pracujący w tej samej branży zupełnie się nie znają. A przecież istnieje problem kooperacji, powłazań, tak więc nawiązane tutaj znajomości ułatwiają później załatwianie wszystkich tych spraw. Przechodzi się bowiem od tego oficjalnego tonu do bardziej koleżeńskieg, rozmawia się w innej już atmosferze. Często wykładowcami na kursach są zwierzchnicy słuchaczy. Tu ci ludzie spotykają się na zasadach partnerswa. Istnieje możliwość wymiany poglądów, dyskusji bardziej ostrych i szczerzych niż na co dzień.

— Są pełne szanse wyjścia poza schemat i rutynę...

— Wszyscy nasi słuchacze uważają, że warto czasem oderwać się od tego... jak to oni mówią... kotła fabrycznego, gdzie się wszystko gotuje. Tu można spokojnie o wszystkim pomyśleć i zastanowić się nad pracą zakładu, swoją własną, nad swoim podejściem do wielu problemów. A może inaczej? I to jest chyba najcenniejsze, bo jeśli posłużyć się tu utartym powiedzeniem, myślenie zawsze ma przyszłość...

Rozmawiał:
ZBIGNIEW S. NOWAK



Foto: Archiwum

STRASZLIWY PYTON

Choć aura kapryśna, wystarczy zajrzeć do aktualnego repertuaru, by uzyskać pewność, że kanikula rozpoczęła się na dobre. Tradycyjnie dominuje w nim rozrywka, i to głównie natury sensacyjnej i kryminalnej. Spośród filmowych tytułów najsilniej w oczy bije najkoszmarniejszy, czyli... „Rewolwer Python 357”, który przyciągnie do kina jednych, odrzuci zaś drugich, chyba, że ci ostatni dowiedzą się, że kryją się za nim nazwiska tak znakomitych aktorów, jak Simone Signoret, Yves Montand, Francois Perier i Stefania Sandrelli, aktorów, na których się przecież chadza. Boję się jednak, że tym razem nawet ich udział nie do końca wynagrodzi kosztu tym, którzy niezbętnie lubią brutalne kino.

Reżyser „Rewolweru Python 357”, pan Alain Corneau, z wyraźnym zapalem stara się pogodzić najmodniejszy typ sensacyjno-kryminalnego filmu ze starą jego tradycją. To, co modne, kojarzy się z okrucieństwem, brutalnością i daleko posuniętą ambivalencją moralną, to, co w filmie kryminalnym tradycyjnie, łączy się z próbą psychologizacji i pewnej gry intelektualnej. Sprośtanie jednym i drugim wymogom nie jest rzeczą prostą, toteż i zapal pana Corneau nie przyniósł oczekiwanych efektów.

Akcja filmu toczy się w środowisku szczególnie chętnie brany ostatnio pod mikroskop, to znaczy w gronie samych funkcjonariuszy policji. Rozwijające się zdarzenia nie świadczą najlepiej o ich morale, lecz nie o demaskacji w stylu amerykańskim czy włoskim chodzi w tym filmie. Film zdaje się mówić: słabi, podlegli działaniu zła i zbrodni ludzie, mogą żyć i pracować wszędzie. A więc co, akcent na problemy psychologiczne? Trochę tego w filmie odnaleźć można, a to głównie dzięki wprowadzeniu w tryb kryminalny ciekawej postaci przykutej do łóżka kobiety, małżonki komisarza policji, która w znacznej mierze steruje wydarzeniami czyli działaniami i czynami me-
za.

Można w tym miejscu uchylić nieco rąbka tajemnicy samej intrygi, jako, że od początku stawia się widza w tym filmie w sytuacji osoby, która nie wie, co się dzieje. Zabawa nam poleca jest zatem towarzyszyć poszukiwaniom inspektora, który, prowadząc śledztwo w sprawie zabójstwa swej kochanki, będzie odkrywał i zacierając tropy wskazujące na niego jako na sprawcę tej zbrodni. Nas interesować tylko będzie pytanie, w jaki sposób i czy dotrze do prawdziwego mordercy, czyli swego szefa — komisarza.

W roli inspektora Ferrot męczy się okrutnie najwspanialszy ze wspaniałych, czyli sam Yves Montand, lecz przegrywa w aktorskich zmaganiach ze swą małżonką, czyli Simone Signoret, która tu występuje w roli małżonki filmowego przeciwnika. Rzadko widywana na ekranach Signoret smuci nieco, że nie może już grywać pięknych i najeściej tragicznych kobiet, ale ciągle jeszcze zachwyca swym najwyższej klasy aktorstwem. Postać w tym filmie przez nią grana jest też postacią najeściej, intrygującą motywami swego postępowania.

Dzięki wszystkim aktorom, „Rewolwer Python 357” (brrr, powtarzanie tego tytułu może przysporzyć o dreszcze) zyskuje owe wspomniane walory psychologiczne, choć są one dość skutecznie, niestety, zniszczone przez efekty spod znaku brutalności, bez której widać nie mógł sobie reżyser wyobrazić atrakcyjności swego filmu.

Osobiście gotowa jestem przysiąc, że bez huczącego Pythona 357 i bez okrutnych bojek, w które, z woli reżysera, musi się wdawać Yves Montand, film zyskałby na wartości. Tym bardziej, że cały ten Python 357, gdzieś naprawdę, mając na uwadze zalecenie Mistrza Czechowa, nie wystrzelił. Bo zupełnie nie rozumiem, jak policyjni fachowcy mogli nie rozpoznać, kto i z czego strzelił do komisarza, skoro już w czołowie filmu eksponuje nam się niezwykle do-
kładnie oryginalny sposób przygotowywania domowego sumptu kul do tego rewolweru. W komisariacie w Orleanie chyba wszyscy o tym wie-
dzieli.

EWA NURCZYŃSKA



LENINGRADZKIE ABECADŁO

„Wenecja Północy”, „miasto białych nocy”, „miasto-muzeum”, „miasto-pomnik”, „miasto-bohater” czyli po prostu LENINGRAD. Miasto, które imię Lenina nosi od 28 stycznia 1924 roku, przedtem — przez dziesięć lat — nazywane było Piotrogadem, a jeszcze wcześniej — przez 211 lat — Sankt-Petersburgiem, krócej zaś — Petersburgiem.

Dziś wydzielone miasto obwodowe Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, rozciągające się u ujścia Newy do Zatoki Fińskiej na powierzchni ponad 570 km kw., a zamieszkałe przez ponad 4 mln mieszkańców.

Położone na 59° 57' północnej szerokości i 30° 19' długości wschodniej jest najbliższym Północnego Bieguna miastem. Właśnie takie położenie geograficzne przesądza o tym, że Leningrad jest miastem białych nocy, które zaczynają się 21 maja, kończą zaś około 20 lipca, osiągając szczyt swojej jasności w drugiej dekadzie czerwca.

Rokrocznie odwiedzają Leningrad, który uważany jest za jedno z najpiękniejszych miast świata, miliony turystów, a wśród nich — również przybysze z Polski. Z jednakową gościnnością przyjmuje ich to piękne, zabytkowe miasto, w którym 825 miejskich zespołów, pałaców, gmachów i pawilonów, ponad 500 pomników i plenerowych rzeźb, 137 parków, ogrodów i skwerów oraz niezliczone bogactwo fontann, ogrodzeń, mostów i kamiennych bulwarów — składających się na niepowtarzalnie piękno miasta — znajdują się pod ścisłą ochroną.

Tych wszystkich, którzy już byli w Leningradzie, jak i tych, którzy dopiero będą — zapraszamy na krótki spacer po mieście. Spacer, którego marszrutę wytycza alfabetycznie.

ADMIRALICJA, zamykająca od północnej strony Plac Pałacowy, a otwarta swoimi skrzydłami na Nową, jest najpopularniejszym chyba symbolem Leningradu. Historia tego gmachu — wielokrotnie przebudowywanego — sięga 1704 roku, w którym to car Piotr I założył na lewym brzegu Newy stocznice, polecając zbudować obok siedzibę jej „dyrekcji”. Początkowo był to parterowy budynek z drewna, w którego środkowej części wzniesiono wieżę, zwieńczoną iglicą. W latach 1733-38 architekt I. K. Korobow przebudował budynek, zastępując drewno kamieniami. Współczesny kształt nadał gmachowi Admiralicji w latach 1806-1832 A. D. Zacharow. Według jego projektu powstał budynek o długości 406 metrów, bogato zdobiony portalami i kolumnami jońskimi oraz smukłą wieżą, której wysokość — wraz ze złożoną kopułą i połączoną iglicą — sięga 72,5 m. Na szczycie iglicy — jak za Piotra I — znalazł się maly żaglowiec, ozdobiony złotym jabłkiem i koroną. Okręcił ten stał się nieoficjalnym herbem miasta, stanowiąc — na przykład — główny element graficzny szczytowego orderu „Za obronę Leningradu”.

BLOKADA — trwała 900 dni i nocy, przysparzając miastu imię bohatera. Zaczęła się we wrześniu 1941 roku, kiedy to wojska niemieckie i fińskie otoczyły Leningrad, skoczyła się zaś w lutym 1943 roku, gdy na Dworzec Finlandzki wtoczył się pierwszy pociąg, otwierający po długiej przerwie lądowe połączenie z resztą kraju. W czasie blokady na każdy kilometr kwadratowy miasta spadło około 340 bomb i 480 artyleryjskich pocisków. Od bomb i pocisków, z

głodu i mrozu zginęło w tym czasie 650.000 mieszkańców Leningradu.

CMENTARZ PISKARIEWSKI jest wstrząsającym świadectwem tragedii wojennej, jaka dotknęła całe miasto. Na 26-hektarowej powierzchni pogrzebano tu w latach 1941-43 ponad 470.000 mieszkańców miasta. Ku ich czci odsłonięty tu został w 1960 roku monumentalny zespół pomników, którego centralną część stanowi szeroko znana dziś sześciometrowa statua Matki-Ojczyzny.

DZIELNIC — czyli rejonów — liczy sobie współczesny Leningrad aż siedemnaście: Wasileostrowską, Wyborgską, Dzierżyńską, Zdanowską, Kałinińską, Kirowską, Krasnogwardijską, Krasnosielską, Kujbyszewską, Leninowską, Moskiewską, Nową, Oktobrską, Piotrogradską, Sierotnicką, Smolniską i Frunzeńską. Ponadto w skład Leningradu, pod względem administracyjnym, wchodzi cztery miasta: Kolpino, Kronsztadt, Pietroworciec i Puszkina.

ERMITAŻ — czyli jedno z najbogatszych i największych muzeów świata — rekomendacji nie potrzebuje. Muzeum — założone w 1764 roku — zajmuje pięć budynków, w tym słynny Pałac Zimowy. Rocznie zbory Ermitażu ogląda ponad 3,5 mln turystów, którzy zapoznają się tylko z częścią ekspozycji, liczącej 2 mln 574 tysiące eksponatów. Zapoznać się z całością jest — praktycznie biorąc — niemożliwe. Aby zajrzeć chociaż do każdej z sal — jak mawiają czasem przewodnicy — przejść trzeba aż... 22 kilometry. Gdyby przy każdym z eksponatów zatrzymywał się tylko minutę, trzeba by — aby obejrzeć wszystkie — przychodzić dzień w dzień na osiem godzin przez piętnaście lat. Nie też dziwnego, że większość turystów poprzestaje na galerii malarstwa dawnego, gdzie można przeżyć dreszcze emocji, spoglądając poprzez pancerną szybę na najprawdziwszego Leonarda da Vinci.

FONTANKA — jedna z licznych rzek Leningradu, której nazwa wzięła się od działających tu ognisk fontann, jakie wodą z tej rzeki, przeniesioną w powietrze pod ciśnieniem, nawadniały słynny Letni Sad.

GOSTINNY DWÓR — nazwa popularnego, największego zresztą domu towarowego Leningradu, mieszczącego się na Prospekcie Newskim. Nie jest zresztą jedynym tego typu obiektem w mieście. Wzniesiono go jako szósty z kolei, a zarazem największy — w latach 1761-1785, według projektu J. B. Vallen-Delamonta, który nadał swej hali targowej (tak chyba trzeba przetłumaczyć rosyjską nazwę) klasycystyczny wystrój. Dziś — po odbudowie z wojennych zniszczeń — jest to największy dom towarowy Leningradu, zatrudniający 2250 sprzedawców, obsługujących stoiska, których lady mają łączną długość, czterech kilometrów.

HANDEL leningradzki obrął za swoje centrum, Prospekt Newski i przyległe ulice i uliczki. Na Newskim mieści się „Gostinny Dwór” i drugi duży dom towarowy „Passaż”. W pobliżu Newskiego, zaś przy ul. Zela-bowa, znaleźć można wielki „Dom Handlu Leningradzkiego”. Ulicy Zela-bowa szukać należy, idąc Newskim w stronę Newy, między rzeką Majką i kanałem Gribojedowa — po prawej stronie.

ISAAKIJEWSKI Sobór, czyli Sobór pod wezwaniem św. Izaaka Dalmatyńskiego, bizantyjskiego mnicha, jest trzecim co do wielkości obiektem sakralnym w świecie. Wybudowany został w latach 1819-1859 — jako czwarty z kolei sobór pod tym wezwaniem — według projektu A. de

Montferranda. Monumentalny budynek — ozdobiony z zewnątrz 382 rzezbami i 112 monolitowymi kolumnami — liczy sobie 111,5 m długości i 97,6 m szerokości, zaś jego złoty krzyż — wieńczący kopułę, na której położenie zużyto 100 kg złota — wzniesiony jest na wysokość 102 metrów. We wnętrzu równocześnie pomieścić się może 14 tysięcy osób. Imponujący przepych, z jakim wykończono wnętrze soboru, nie jest zresztą jedynym powodem, dla którego warto zajrzeć do środka. Dużą atrakcją turystyczną jest również to, że w Isaakijewskim każdy — największy nawet niedowiarek — przekonanie się może, iż ziemia się... obraca. Szczęśliwie — na miejscu!

KANAŁY i rzeki Leningradu są bezpośrednim powodem, dla którego nazwano to miasto Wenecją Północy. Rzeki, rzeczulki, potoki i kanały zajmują więcej, niż dziesiątą część ogólnej powierzchni miasta. Lustro wody liczy bowiem łącznie 58,2 km kw. Rzek przepływa przez Leningrad 19, drugie tyle — potoków, kanałów jest zaś dwadzieścia. Przerzucone są przez nie mosty: jest ich w sumie 281, w tym 22 zwodzone.

LENIN, którego imieniem nazwano miasto, był z nim blisko związany przez całe życie. Pierwszy raz odwiedził on Petersburg w 1890 roku, uzgadniając terminy eksternistycznych egzaminów na wydziale prawa. W rok później przyjechał znów: wiosną i jesienią, zdając w sumie 14 egzaminów w salach na Bulwarze Uniwersyteckim nr 5 i 7/9. W 1893 roku mieszkał przez kilka miesięcy przy ul. Siergiejewskiej (dziś: Czajkowskiej) 58, potem zaś przy ul. Jam-skiej (dziś: Dostojewskiej). 25 września 1905 roku w redakcji „Nowoj Zim-ni” (Prospekt Newski 68) spotkał się po raz pierwszy z Maksymem Gorkim, 3 kwietnia 1917 roku, wracając z emigracji, Lenina witano na Finlandzkim Dworcu. Włodzimierz Iljicz zamieszkał u Anny I. Uljanowej-Jelizarowej przy ul. Szerokiej 48,5 (dziś: ul. Lenina 52/9)... A to tylko garść przykładów z obszernej listy leningradzkich pamiątek, związanych z Leninem.

LAWRA — czyli klasztor Aleksandra Newskiego, jeden z najstarszych i najeściej odwiedzanych obiektów leningradzkich, mieszczący się przy Placu Aleksandra Newskiego, (na którym kończy się Prospekt Newski). W obrębie Lawry mieści się m. in. cmentarz Tichwinski, na którym pochowani zostali Dostojewski, Karamzin, Kryłow, Glinka, Musorg-ski, Rimski-Korsakow, Czajkowski i wielu innych.

MARSOWE POLE — jeden z najstarszych i najładniejszych placów Leningradu, na którym na przełomie XVIII/XIX w. odbywały się ćwiczenia i parady wojskowe. 23 marca 1917 roku robotnicy Piotrogrodu urządzili na nim uroczysty pogrzeb ofiar rewolucji lutowej. W 1920 roku — w czasie subotników — przekształcono plac w piękny 10-hektarowy ogród, w którego centralnej części wzniesiono pomnik żołnierzom rewolucji. Dwadzieścia lat temu natomiast przed pomnikiem zapłonął wieczny ogień.

NEWSKI PROSPEKT — który nazywał się początkowo „Bolszą perspektiwą darogą” — poprowadzono został przez błota i lasy w 1713 roku, łącząc Trakt Nowgorodzki z wzniesioną przez Piotra I na brzegu Newy stocznia. Swoją obecną nazwę otrzymał w 1783 roku. Jego długość — od Admiralicji do Placu Newskiego — sięga 4,5 km, szerokość zaś 30-60 m.

OKOLICE Leningradu to całkiem odrębny rozdział turystycznej historii. Przypomnijmy: Pietroworciec (Peterhof), z 20 pałacami i pawilonami, 800-hektarowym parkiem, które dorównać miały w ambicjach Piotra I Wersalowi; Puszkina (Carskie Sioło) z późnobarokowym pałacem Katarzyny II, z którego hitlerowcy zrabowali słynną „Bursztynową Komnatę”; Paw-łowsk — czyli zespół pałacowo-ogrodowy, budowany w latach 1777-1820,

czy wreszcie — Raziw, mała osada, w której w szalanie na brzegu jeziora ukrywał się w 1917 roku W. I. Lenin.

PALACOWY PLAC — główny plac miasta, otoczony gmachem Admiralicji, dawną siedzibą Sztabu Korpusu Gwardii, Pałacem Zimowym, domami i pałacami urzędników i dworzan Piotra I, Gmachem Sztabu Generalnego i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, składającym się z dwóch części połączonych łukiem tryumfalnym, na którego szczycie umieszczono słynny „Rydwany Sławy”. Pośrodku placu stoi Kolumna Aleksandrowska wzniesiona w 1834 roku według projektu A. de Montferranda dla upamiętnienia zwycięstwa 1812 roku. Ma ona wysokość 47,5 m, waży zaś 600 ton. Wykonano ją z jednej bryły granitu. Kolumna — zwieńczona rzeźbą archanioła — stoi bez żadnego umocowania, utrzymując się jedynie własnym ciężarem.

RESTAURACJE są tak liczne i interesujące, że zazdrość bierze. Do tego ceny... Ech, życie!

SMOLNY — symbol rewolucji październikowej. Jego nazwa wzięła się od „smolanej dwor”, jak nazywano skład smoly, który stał na miejscu dzisiejszego pałacu, a właściwie „instytutu dla panien z dobrych domów”, jak nazwano klasycystyczną „przysługę” żeńskiego klasztoru, wzniesionego w latach panowania carycy Elżbiety i Katarzyny II. W sierpniu 1917 roku, „instytut” zlikwidowano, a pałac Smolny stał się Siedzibą Rady Delegatów Piotrogrodzkich i Żołnierzy. 7 listopada 1917 roku w Smolnym rozpoczął działalność Rewolucyjno-Wojskowy Komitet, przygotowujący powstanie zbrojne.

TWIERDZA PIETROPAWŁOWSKA — kolebka Leningradu, którego historia rozpoczyna się w 1703 roku, w którym car Piotr I na jednej z licznych wysp w delcie Newy — Wyspie Zajęcej — rozpoczął budowę wielkiej twierdzy, która przez jego następów była ciągle rozbudowywana i umacniana, wciąż też — do rewolucji — pełniła funkcję ciężkiego więzienia politycznego.

WYSPIY — na jakich położony jest Leningrad dość trudno jest zliczyć. Przez cały wiek uważano, że w delcie Newy jest 101 wysp. Miasto jednak rozrastało się. Kopano jedne kanały, zasypywano inne. Dzieleno jedne wyspy, inne łączono. Aby poznać kres domysłu i przypuszczenia, przeprowadzono w końcu szczegółową „inventaryzację”, która 1 stycznia 1972 roku dała precyzyjny wynik 42 wyspy. Wynik był dużym zaskoczeniem dla leningradczyków. A dziś? Ile wysp liczy sobie Leningrad? A kto go tam wie.

ZŁOTO — czyli to, co spędza sen z oczu wielu turystom, na szczęście, nie tylko naszym rodakom. Wystawiają oni godzinami pod sklepami jubilerskimi: „Bieriozka” (Prospekt Newski 7, pod samą Admiralicją) czy „Jachontem” (ul. Hercena 24, na lewo od Newskiego, zaraz za rzeką Majką). Ba, gdyby wiedzieli, że paręset metrów stąd zwykła robotnica znalazła pewnego pięknego dnia 128 kilogramów czystego złota... Było to w 1965 roku. Remontowano właśnie „Gostinny Dwór”. W pomieszczeniu nr 87 robotnicy zrywali podłogę, pod którą znaleźli kilka cegieł. Mało brakowało, żeby cegły powędrowały na stertę gruzu. Jedna z robotnic zauważyła, jednak, że cegły są dziwne: ciężkie i pobłyszczające, otarte z brudu, żółtawoczerwonym kolorem. Ekspert potwierdził: złoto. Po zbadaniu dokumentacji okazało się, że to część domu towarowego zajmowali przed rewolucją I. i W. Morozowie, którzy prowadzili sklep jubilerski. W 1917 roku opuścili Piotrogrod, wyjeżdżając za granicę. Wrócić po złoto nie mieli okazji...

Tekst i foto:
JACEK INDELAŁ

U PRZYJACIOŁ

Około 30 prac powstałych w ostatnich latach, zgromadzono na otwartej niedawno w Moskwie wystawie Ilji Glazunowa.

Ekspozycja obejmuje dzieła, które w sposób najpełniejszy charakteryzują jego twórczość — główne cykle, najważniejsze tematy i kierunki poszukiwań artystycznych.

Wśród wystawionych prac znajdują się portrety, płótna poświęcone historii Rosji, grafika książkowa.

Wystawa świadczy o wszechstronności zainteresowań Glazunowa i stanowi słup milowy w jego działalności twórczej.

Na wystawie jest wiele dzieł, w których autor zawarł swój stosunek do zjawisk i tematów bliskich wszystkim ludziom radzieckim. Można je określić jako „Dziennik człowieka współczesnego”. Oddzielny dział tworzą prace poświęcone dziełom z lat wojny, blokadzie Leningradu.

Ekspozowane są także najciekawsze pozycje z cykli „Chile” i „Wietnam”.

Współczesność sztuki to — zdaniem Glazunowa — przede wszystkim zawarta w utworach synteza zjawisk i problemów, którymi żyje i wzrusza się dzisiejszy człowiek, filozoficzne i moralne refleksje pobudzone aktualnymi wydarzeniami.

Podążając tematy związane z przeszłością, z historią Kraju Rad, Glazunow stara się odzyskać fakty interpretować z pozycji człowieka współczesnego. Na wystawie znalazło się kilka płócien poświęconych narodziłom państwa rosyjskiego, jego walce z nawałą tatarsko-mongolską.

Prezentowane są tam także prace ilustrujące książki, przede wszystkim dzieła Fiodora Dostojewskiego, ulubionego pisarza Ilji Glazunowa.

„Inostranna Literatura” rozpoczęła druk powieści głośnego południowoafrykańskiego kardiologa doktora Christiana Barnarda pt. „The Unwandel” (Element niepożądany).

Książka powstała przy współudziale publicysty i prozaika Siegfrieda Standera.

Powieść spotkała się w Związku Radzieckim z zainteresowaniem, głównie ze względu na osobę autora.

Jak wiadomo Barnard dokonał pierwszego w dziejach medycyny przeszczepu serca.

Wyniki jego doświadczeń na dłuższą metę nie zdają egzaminu, lecz wszyscy potencjalni zawalcy patrzą na Barnarda jak na zbawiciela.

Kapsztadzki lekarz — z pochodzenia Amerykanin — rozgłos zdobył niezwykłym gwiazdor filmowy.

Upojony sukcesami rzucił się w wir życia światowego.

Reprezentacyjny, elegancki pojawił się na fotografacjach z Sophią Loren i Giną Lollobrigida, z milionerami i książkami.

Rychło także zapomnieli w jakim kraju mieszka: zaczął wygłaszać hasła o równości i braterstwie, przeciwko apartheidowi. Powiedział mu: w Republice Południowej Afryki nikt nie będzie bronił czarnuchów! Barnard uznał ostrzeżenie jedynie za nie znaczące pogroźki, ale pomylił się. Zorientował się w tym pewnego dnia 1972 roku, kiedy jego wóz zderzył się z ciężarówką.

Żona i on sam odnieśli ciężkie obrażenia. Kierowcą — piratem policja nawet się nie zainteresowała.

Wypadek nie przeraził jednak aż tak bardzo, nadal ordynował w swojej klinice.

Poglądy na temat stosunków społecznych panujących w RPA zawarł w powieści „The Unwandel” wydanej w 1974 roku.

Książka zawiera dzieje dwóch przyrodniczych braci — białego Deona i mulata Philippa. Tych tak bliskich sobie ludzi właściwie wszystko — pozycja społeczna, możliwości życiowej kariery. Jeden jest pełnoprawnym bogatym Afrykaninem, kolorowym pariasem, Rzeź dzieje się współcześnie w Republice Południowej Afryki.

W postaci Deona, który jest chirurgiem w klinice kapsztadzkiej zawarł Barnard wiele cech autobiograficznych, ukazując dramatyczny podział między białym, a kolorowym personelem medycznym.

Powieść Ch. Barnarda i S. Standera „Element niepożądany” po zakończeniu jej druku w czasopiśmie „Inostranna Literatura” ukazuje się w wydaniu książkowym nakładem wydawnictwa „Progres”.

Amerkańska mafia dokonuje przestępstw w wielu krajach świata. Oplotła ona swymi mackami także terytorium południowego sąsiada Stanów Zjednoczonych — Meksyku, przekształcając go w głównego dostawcę narkotyków, przynoszących bossom mafii kolosalne zyski. Żerują one na żyjących w nędzy chłopach meksykańskich zamieszkujących rejon górski, dla których zaszewienie opiumowego maku i marihuany jest często jedynym źródłem egzystencji.

Walka z nielegalnym handlem narkotykami, którą podejmują wspólnie władze amerykańskie i meksykańskie nie daje oczekiwanych rezultatów. Znałe są wypadki współpracy policji z mafią zza granic. Kontrabanda przyjęła tak zastraszające rozmiary, że była przedmiotem specjalnych rozmów podczas wizyty prezydenta Meksyku w USA.

Ośrodkiem handlu narkotykami jest miasto Culiacan, leżące w północnej części Meksyku. Stało się ono właściwie przetrutowym punktem narkotyków na drodze do dziesiątków tysięcy działek zasianych opiumowym makiem i marihuaną w górach Sierra Madre, do 400 tysięcy konsumentów heroiny i 15 milionów palaczy marihuany, mieszkających w Los Angeles, Chicago, Nowym Jorku i wielu innych miastach USA.

Od czasów meksykańskiej rewolucji — pisze korespondent „Stern” — w górach Sierra Madre nie przelało się tyle krwi co teraz. W Culiacan, liczącym 250 tys. mieszkańców, dokonuje się rocznie ponad tysiąc zabójstw. Rzeka Rio Culiacan, która wylewa 2-3 razy do roku, wyrzuca na brzeg dziesiątki trupów. Reporterzy gazet, którzy prowadzą kronikę policyjną, obawiając się zemsty gangsterów, nigdy nie podpisują artykułów ani notatek swoim prawdziwym nazwiskiem. Mieszkańcy miasta już z przyzwyczajenia noszą przy sobie broń automatyczną, podobnie jak w innych miejscach, kuli ziemskiej nosi się parasole. Na mieszkańcach Culiacan pianie koguta robi większe wrażenie, niż nocne strzelaniny.

Operacyjna baza policji federalnej i wojska do walki z kontrabandą narkotykami leży wysoko w górach, w małej wiosce meksykańskiej. Można się do niej dostać śmigłowcem, który jest właściwie jedynym skutecznym środkiem lokomocji w walce z przemytnikami. 10 lat temu gangsterzy amerykańskich mafii nauczyli meksykańskich chłopów uprawiać mak i konopie indyjskie — marihuane. Niemal zupełnie niedostępne górskie rejon Sierra Madre, o powierzchni około 500 tys. km kw. i wznoszące się na wysokość 4 tys. metrów nad poziom morza, są idealnym miejscem do produkcji narkotyków, a nie kontrolowana granica między Meksykiem a USA na przestrzeni 2.600 km jest — w dosłownym tego słowa znaczeniu — wprost stworzona dla kontrabandy.

Pod kierunkiem i przy współpracy amerykańskiej mafii meksykańscy chłopcy wykarczowali lasy, wybudowali prymitywne laboratoria, w których

ludzie gangu przerabiają surowiec opium na heroinę, przygotowali lotniska dla samolotów, które przewożą towar przez granicę, a ściślej mówiąc — ponad granicę. Płony zaczęto zbierać trzy razy w roku. I kiedy interes zaczął działać na właściwych obrotach, gangsterzy nie pokazali się im więcej na oczy.

Po dostarczeniu narkotyków, wieczerem, w umówione miejsce chłopcy natychmiast znikali. Nocą kupcy zabierali towar i zostawiali pieniądze. Ten narkotyczny proceder nie wzbudził specjalnego niepokoju miejscowych władz, bo przecież koniec końców zarabiali na nim wszyscy, a narkotyki konsumowano przede wszystkim po tamtej stronie granicy. Trwało tak do czasu, aż rząd USA, zagrożony Meksykiem sankcjami ekonomicznymi, nie nakłonił go do udziału w walce z narkotykami.

W owym czasie głównym dostawcą narkotyków do USA był nie Meksyk, a Turcja. Meksykańska heroina, o-

lia. Jednocześnie przeprowadza się rewizję w podejrzanych osadach. Po długich dyskusjach, wbrew protestom instytucji odpowiedzialnych za ochronę środowiska, władze meksykańskie wyraziły zgodę na stosowanie w tych akcjach trującego środka, którego używali Amerykanie podczas wojny w Wietnamie. Pod wpływem tego niebezpiecznego preparatu opadają liście z drzew.

Kampanię rozpoczęto, wkrótce okazało się jednak, że to wszystko nie jest takie proste. Handel narkotykami jest dla większości chłopów jedyną drogą ucieczki od nędzy. Nie przeraża ich nawet surowe kary od 5 do 15 lat więzienia. Uprawa maku i konopi, zdaniem chłopów warta jest każdego ryzyka. Dyrektor urzędu do walki z narkotykami w Mexico, Alexandro Manaro, opowiada, że w 1976 roku w operacjach niszczenia plantacji narkotycznych roślin uczestniczyło 10.000 ludzi, zniszczono 30.000 plantacji, skonfiskowano

TRUCIZNA Z SIERRA MADRE

czyszczona tylko w 65 procentach i nazwana z racji swego ciemnego odcienia „mexican brown”, nie cieszyła się takim popytem, jak towar dostarczany kontrabandą z Turcji do Marsylii, gdzie chemicy z przesławnej gangsterskiej organizacji „French connection” otrzymywali biały proszek, niemal 100-procentowej heroiny.

Po czerwcu 1971 roku, kiedy pod naciskiem Waszyngtonu Turcja wpro wadziła oficjalny zakaz siania opiumowego maku, a nieco później rozgromiono „French connection”, Amerykanie zdecydowali, iż problem narkotyków rozwiązano ostatecznie. I właśnie wtedy w Sierra Madre pojawiło się takie mnóstwo plantacji maku i marihuany, że z powietrza zielono-brunatne góry wyglądały jakby usłane kwieciastym dywanem. Meksykańscy hodowcy i ich amerykańscy partnerzy zaczęli zgarniać bajeczne zyski. Jeden kilogram surowca opium, za który chłopu płacono 2.000 dolarów, po przeróbce na heroinę kosztował ponad 20.000 dolarów. Każdy odprzedałca coraz to bardziej podwyższal cenę i kiedy ziele docierało wreszcie do Nowego Jorku, za kilogram żądano już 335.000 dolarów! Już w 1974 roku „mexican brown” pokrywał zapotrzebowanie USA w 80 proc. i strata Turcji przestała niepokoić handlarzy.

Władze amerykańskie nakłoniły Meksyk do przyjęcia planu niemal wojennej operacji. Przy pomocy specjalnej aparatury samoloty wywiodły, a nawet sztuczne satelity Ziemi, fotografują z dużej wysokości górskie lasy Sierra Madre. Plantacje maku i konopi wychodzą na zdjęciach fotograficznych w określonym kolorze. Po analizie zdjęć wylatują śmigłowce, żeby zniszczyć plantacje, rozpylając specjalne chemika-

900 samochodów, 80 samolotów, 10 statków, aresztowano 4 tysiące Meksykanów i 400 obcokrajowców, głównie Amerykanów, i że położono kres uprawie maku i konopi. Tak twierdzi Manaro, lecz fakty przeczą tym optymistycznym wnioskowi. W górach odkrywa się coraz to nowe plantacje maku, a w Stanach Zjednoczonych nie odczuwa się bynajmniej braku zaopatrzenia w ziele.

Przemycą się je przez granicę w ramach wydechowych samochodów, które prowadzą wzorowi ojcowie rodzin, dostarczą się na osłach przez ostępy górskie, przewozi się w prywatnych samolotach. Ale nie tylko profesjonalni, kontrabandyści, lotnicy, konni i zmotoryzowani kurierzy mafii przerzucają truciznę przez granicę. Robią to także niezliczeni nielegalni imigranci, którzy przedostają się do USA w nadziei na otrzymanie pracy. Nie obawiają się nawet meksykańskich band, które przekształciły rejon pogranicza w strefy terroru i nie wahają się przed zamordowaniem człowieka dla kilku dolarów lub szczypty narkotyków. Rząd meksykański prowadzi walkę z kontrabandą narkotyków z mieszanymi uczuciami, bo chociaż narkotyki są poza prawem, to jednak zapewniają egzystencję mieszkańcom rejonów wysokogórskich. Władze uważają, iż korzenie zła tkwią w USA i dopóki istnieje tam rynek zbytu, dopóty w Meksyku będą chłopcy uprawiać mak i konopie. Tymczasem popyt na towar w USA jest wysoki jak nigdy dotąd. Tyłko w Nowym Jorku, gdzie sprzedaje się aż 30 różnych odmian heroiny, umiera z powodu narkomanii tysiące osób rocznie.

JERZY CZECH

(C)

■ Wszystko łączy i zbliża ■ Tylko zmiana taktyki ■ Nieprosta droga

I znów, jak po wizycie naszej najwyższej delegacji w NRD, możemy pisać o nowym etapie przyjacielskich stosunków. Tym razem polsko-czechosłowackich. I znów w stwierdzeniu o nowym etapie nie będzie żadnej przesady. Wizyta delegacji partyjno-państwowej z Edwardem Gierkiem w Czechosłowacji zakończyła się podpisaniem wspólnego dokumentu... „O dalszy rozwój i pogłębienie współpracy między Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą a Komunistyczną Partią Czechosłowacji, między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Czechosłowacką Republiką Socjalistyczną, o umocnienie przyjaźni między narodem polskim a narodem Czechosłowackim” oraz uzgodnieniem głównych kierunków pogłębienia współpracy gospodarczej po 1980 roku.

Tak więc wspólne ustalenia sięgają po rok 1980, zwrócone są również w stronę dalszej przyszłości. W myśli słów Edwarda Gierka, wypowiedzianych na spotkaniu w Pradze:

„Umocnienie... braterskich stosunków — to obowiązek naszego i przyszłych pokoleń. To wielka sztafeta historii, przekazywana z pokolenia na pokolenie”.

Rozmowy, cały pobyt delegacji w CSRS potwierdziły, że nie nas nie dzieli, a wszystko łączy i zbliża. Fundamentem tego braterstwa jest socjalizm, który ma na celu dobro człowieka.

Wymieniony powyżej wspólny dokument wiele uwagi poświęca problematyce międzynarodowej. M. in. podkreśla się, że rozwój sytuacji na podopiecznym Akcie Końcowego potwierdził „realistyczny charakter celów”, jakie nakreśliła KBWE. Oba kraje gotowe są przyczynić się do konstruktywnego przebiegu spotkania belgradzkiego, które powinno stać się impulsem do dalszego umacniania bezpieczeństwa i rozwoju pokojowej współpracy.

Organizowane przeciwko krajom socjalistycznym wrogie kampanie mają na celu pogorszenie atmosfery międzynarodowej i są oczywiście sprzeczne z zasadami helsińskimi.

Nieodwrotnie stabilizacji procesu odprężenia wymaga zahamowania wysiłku zbrojeni i wejścia na drogę rozbrojenia. Takim rozwojem sytuacji żywno nie zainteresowane są Polska i Czechosłowacja.

Niestety — nie wszystkie decyzje,

podejmowane przez niektórych przywódców państw zmierzają do przerwania wysiłku zbrojeń. Wiele ostatnio pisze się na przykład o konferencji prawosławnej Jimmy Cartera, w czasie której zakomunikował on wprowadzenie B-1, ale równocześnie potwierdził, że USA będą kontynuowały prace nad produkcją i rozlokowaniem pocisków samosterujących „Cruise”. Innymi słowy — Waszyngton postanowił zmienić taktykę, ale nie osłabił procesu zbrojeń. Przypomnijmy, że pociski „Cruise” były przedmiotem kontrowersji w rozmowach Vance — Gromyko i naszym zdaniem powinny być objęte ograniczeniami nowego porozumienia SALT. Decyzja prezydenta USA utrudnia z pewnością dwustronne rokowania na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. Nie sprzyja im również próbną eksplozję z bombą neutronową, przeprowadzoną przez USA w ub. tygodniu i zapowiedź, że dopiero po 15 sierpnia Carter podejmie decyzję, czy będą one produkowane.

Jak to wszystko pogodzić z wcześniejszymi, przedwyborczymi zapowiedziami obecnego prezydenta, że będzie on dążył do ograniczenia w zbrojeniach? Przecież nowa administracja, jak widać dąży do zapoczątkowania nowej rundy wysiłku, jeszcze bardziej niebezpiecznej niż dotychczasowe.

W kolejności poświadczenia nieco miejsca trwającemu w Belgradzie spotkaniu przygotowawczemu, 21 razy spoty-

W SIECIACH ELEKTRONIKI

Mózg elektroniczny, dysponujący nieomal nieograniczoną pamięcią, może być bardzo niebezpieczny dla człowieka jeśli chodzi o zbieranie a następnie wykorzystywanie informacji o jego życiu. W RFN 22 tysiące komputerów obsługujących miasta, osady wiejskie, urzędy federalne i krajowe, instytucje, a także mnóstwo prywatnych firm zapisują na taśmach magnetycznych informacje o życiu każdego obywatela RFN. Tylko same oficjalne instytucje przechowują w komputerach około 300 przeróżnych danych o każdym obywatelu Republiki Federalnej. Do takich danych należą m. in. stan rodzinny, szczenienia i przebyte choroby, stan majątkowy i dochody, wykształcenie i postępy w pracy, własność ziemska, naruszenie przepisów ruchu drogowego. Na taśmach komputerów odnotowano informacje o mandatach karnych, karach, wyrokach sądowych, skłonnościach, upodobaniach, itp. itd. Dokładnie tak samo mózg elektroniczny notuje wszystkie rodzaje działalności politycznej obywatela RFN i kontakty osób, które zwróciły na siebie uwagę Urzędu Ochrony Konstytucji, czyli policji politycznej RFN. Może to być udział w zakazanych, lub nawet dozwolonych, demonstracjach, wyjazdy do krajów wschodniej Europy, a nawet choćby tylko podpis pod protestem przeciwko wojnie w Wietnamie czy pod rezolucją domagającą się okazania pomocy narodowi Chile.

Także w komputerach prywatnego sektora jest zarejestrowany niemal każdy mieszkaniec Zachodnich Niemiec. Banki i kasy oszczędnościowe rejestrują dochody i dane o materialnej sytuacji swoich klientów, prywatne biura informacyjne i agencje detektywistyczne przygotowują na użytek instytucji kredytowych informacje, kto, z kim i jak dużo prowadzi operacje handlowe. Wydziały personalne wielkich koncernów przechowują w pamięci swoich komputerów, wraz z danymi o awansach w pracy, zaświadczenia lekarskie, wyniki testów sprawności intelektualnej i umiejętności zawodowych.

Wszystkie te dane o ludziach, przechowywane w komputerach, gwałcą w sposób ewidentny prawo do zachowania tajemnicy życia osobistego obywatela RFN. Pewien członek Bundestagu z ramienia SPD — jak donosi „Stern” — zwrócił uwagę, że „nikt i nic nie gwarantuje „wyciekania” z komputera informacji zebranych o człowieku włącznie z informacjami o jego życiu prywatnym”. Stanowi to wielkie niebezpieczeństwo dla człowieka, którego całe życie spisano na kawałku taśmy magnetycznej.

kali się już przedstawiciele państw-sygnatariuszy Aktu Końcowego, a postępowanie w rozmowach nie jest zadowalające.

Ostatnio dziewięć krajów neutralnych zaproponowało, aby przejść do rozmów nieformalnych i w nich szukać wyjścia z obecnej sytuacji. W tym miejscu wyjaśnijmy, że trudności biora się stąd, iż niektóre delegacje chcą narzucić wszystkim swą formułę spotkania zasadniczego Jesienia br. Obserwatorzy są zdania, że obecny okres „cichiej dyplomacji” może ułatwić znalezienie rozsądnego kompromisu, bez którego w Belgradzie może grozić zastój.

Kraje socjalistyczne zajmują elastyczne stanowisko. Widzą możliwość, aby jesienią plenarnym posiedzeniem przedstawicieli 35 państw towarzyszyły również prace w grupach roboczych. Gotowe są także porozumieć się co do terminu rozpoczęcia spotkania (np. 23 września) i czasu trwania (np. do 20 grudnia). Nie powinno być zatem żadnych zasadniczych przeszkód w postępie prac przygotowawczych, jeśli tylko wszystkim uczestnikom obrad przyswiecać będzie dobra wola.

Na dwóch przykładach z ostatniego tygodnia: stanowiska USA na temat zbrojeń i przebiegu belgradzkiego spotkania przygotowawczego widać, jak nieprosta, a nawet uciążliwa jest droga do pełnego odprężenia w świecie.

W. SŁAWSKI

SPORT

SIEDM
CHUDYCH LAT

Zgodnie z biblijną przypowieścią, po siedmiu latach tłustych powinny przysięść lata chude i ma ich być równie siedem. Nie jestem zupełnie pewna czy w polskim kolarstwie było akurat siedem lat tłustych i nie mam wcale zamiaru twierdzić, że teraz musi być akurat siedem lat chudych, czyli siedem lat bez znaczących sukcesów, ale jest niewątpliwym faktem, że po okresie pięknych sukcesów kolarstwo szosowe znalazło się w fazie ostrego kryzysu. Nie o liczbę więc chodzi, nie o biblijną siódemkę, ale o ów fakt, o pewną prawidłowość, której nie potrafiono w porę przeciwdziałać.

W ubiegłym roku w Wyścigu Pokoju, który dla kibiców kolarstwa w Polsce jest zawsze miarą formy i poziomu polskich szosowców, nasza reprezentacja zajęła trzecie miejsce, a najlepszym z Polaków był Stanisław Szozda, który zajął drugie miejsce. Tadeusz Mytnik zajął wówczas piąte miejsce, a Mieczysław Nowicki — ósme. W tym roku — choć to jubileuszowy był Wyścig Pokoju — do rywalizacji stanęła odmłodzona drużyna. Może to i słusznie, bo młodym też trzeba dać kiedyś okazję do startu. Może to i niepełnie było słuszne, bo w końcu, przy okazji jubileuszu, można było pokusić się o lepszą lokatę w wyścigowej tabeli. Stało się. Ryszard Szurkowski — co mu wypomnieli niekiedy dziennikarze — robił kolegom na starcie fotografie, zabawiając się w fotoreportera, a także wraz z Stanisławem Szozdą pełnili rolę komentatorów telewizyjnych. I trzeba przyznać, że debiut Stanisława Szozdy przed kamerami TVP był nadzwyczaj udany. Miałam już okazję o tym wspominać.

Tego typu taktykę kibice, choć z niej niezadowoleni, próbowali tłumaczyć koniecznością przygotowania się do mistrzostw świata, a także koniecznością udziału w zagranicznych imprezach. Co rozsądniejszy kibic zdaje sobie bowiem sprawę, że choć Wyścig Pokoju jest mu bliski, że ma do niego serdeczny stosunek, to przecież wiele innych imprez szosowych ma silniejszą obsadę. Trzeba więc, aby i tam nasi kolarze próbowali, aby uczyli się rywalizacji na różnych terenach i w różnych obsadach. Ale jak i na zagranicznych imprezach wielu znaczących sukcesów nie było.

I oto kilka dni temu prasa codzienna poinformowała, że trener kadry polskich szosowców — Karol Madaj ze względu na zły stan zdrowia postanowił zrezygnować ze swojej funkcji, a na jego miejsce PZKol. powołał Andrzeja Trochanowskiego, z którym współpracował będzie dr Zbigniew Rusin. „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowi, jako smakujecie, aż się zepsujecie” — napisał Jan Kochanowski. a Grzegorz Knapski już w 1632 roku przestrzegał: „Zdrowie i dobre sumienie waż sobie nad mienie”. Nie wiem więc, czy Karol Madaj od tak dawna — jak to się pisze — borykając się ze złym stanem zdrowia ma zupełnie czyste sumienie. I nie wiem, czy działacze PZKolu też mają czyste sumienie, że pozwalali tak długo męczyć się na tak odpowiedzialnym stanowisku choremu człowiekowi i dopiero uświadomić go od niego na niespełna dwa miesiące przed mistrzostwami świata, które na przełomie sierpnia i września mają odbyć się w San Cristobal w Wenezueli.

A że sytuacja jest poważna niech świadczy o tym fakt, iż PZKol. dla ratowania reputacji polskiego kolarstwa szosowego powołał specjalny sztab, który troszczyć się będzie o przygotowanie nie tylko przed mistrzostwami świata, ale także — niezależnie od wyniku osiągniętego w San Cristobal — dbać będzie o dalsze szkolenie polskich szosowców. I słusznie. Trzeba bowiem myśleć nie tylko o tym, co będzie za kilka tygodni, ale też i o tym co będzie w przyszłym roku, za kilka lat. Jeśli nie obronimy mistrzostwskiego tytułu w tym roku w San Cristobal, co może być bardzo prawdopodobne, to przecież przed szosowcami stoi dalszy cel: Olimpiada w Moskwie. A i z następnych sukcesów w mistrzostwach świata też nie ma co już teraz rezygnować.

Jednego tylko nie rozumiem. Sytuacja w polskim kolarstwie szosowym nie należy do najlepszych. Wskazują na to fakty. Ale wszyscy wbrew faktom udają, że nie się nie dzieje, że wszystko jest w porządku, traktując kibiców kolarskiego jak troche niedorozwiniętego umysłowo, który sam myśleć nie potrafi, nie widzi faktów, nie potrafi kojarzyć. Trochę to przypomina znakomicie podpatrzoną przez Daniela Passenta i opisaną w „Polityce” metodę, która każe wygranym mecz uznawać za bardzo ważny, a przegrany za bardzo nieważny. Zgodnie z tą metodą jubileuszowy Wyścig Pokoju był nieważny, a zastawiana na nim faktyka była bardzo dobra, choć nie przyniosła dobrych rezultatów. Zgodnie z tą zasadą mistrzostwa w Wenezueli mogły okazać się bardzo nieważne, a taki np. Węgieł Malonowski bardzo ważny. Ale kibice już dawno nie dale się na to bierają. Swoje wie. I czesto się nie myli.

Teraz na przykład kibie uważnie przypatrzyły się lekkiej atletyce. Jeszcze niektórzy sprawozdawcy niejako zachwyt, ale już co przeczucie ostrzegają i głoszą mówią o kryzysie. I jeśli odpowiedziami działacze w nore łez nie rozumieją, to znów ktoś będzie musiał zapisać na zdrowiu, aby tylko nie na dwa miesiące przed startem w Moskwie.

BOGDA MADEJ

LEKTURY NA LATO

EUGENIUSZ IWANICKI

TYDZIEŃ
PIOTRA SOKAŁA

Dwa reportaże — jeden z zaklądów obuwniczych „Skorbut”, drugi poświęcony kolejnictwu — zostały przez Krawca odrzucone. Nie dochodziłem dlaczego, choć było mi przykro. Coraz bardziej uświadamiałem sobie, że zbliża się do nieuchronnego, przed którym tak się bronię, lecz którego nie jestem w stanie powstrzymać. Czuję, że pustka wokół mnie się rozszerza, ogromnie, z każdym dniem, a ja niczym samotny rozbitnik na próżno rozglądam się za stałym lądem. Gdybym zupełnie utracił poczucie rzeczywistości, mógłbym mówić o nagonce, o zmoiwie, o utraceniu. Byłem jednak na tyle obiektywny (jakże trudno to czynić w mojej sytuacji), by powiedzieć sobie, że gorzka prawda: kończysz się, stary. Dobrze, że mniej więcej do połowy przeznaczonego ci czasu w tej doczesnej wędrówce i na dobrą sprawę nie dokonasz niczego. Kolejno umierają twoje marzenia, maleje zapal, pograżasz się w słabość. Obejrzyj się, popatrz dokładnie na przebytą drogę: czy znajdziesz na niej własne ślady? Nie, dosłownie nic nie ocalałeś od zapomnienia, nie zaznały swojej obecności w żadnym miejscu, nie wrosły w żadne miasto. Wszędzie byłeś gościem, przelotnym ptakiem o pięknym upierzeniu umierającym jedynie szczytówką, żyć od świtu do zmierzchu i nie trzucić się o gniazdo. Otrzymałeś w darze naturę wrażliwą, chłonną, w miarę zdolną i ambitną i oto teraz, kiedy brnieś od kłeski do kłeski okazujesz się bezradny i tak żaloszny, że nawet nie masz odwagi lłować się nad sobą. Jednakże pozostało w tobie poczucie uczciwości i dlatego dotąd nie stałeś się jednym z tych cwaniaków napełniających szumem redakcję,

klub, Spatif, cudownych gawędziarzy brylujących w światku tego pseudo high life'u. Bo czymże różnisz się od takiego Jakuba Rosenbluma spędzającego więcej czasu na zagranicznych wojażach niż na pracy w redakcji, zmieniającego co roku samochody i kochanki, będącego za pan brat z naczelnym i sekretarzem, mającego przyjaciół w instancji partyjnej, w milicji i prokuraturze, otrzymującego specjalne zezwolenie na podjęcie studiów prawniczych, choć nigdy nie zdobył średniego wykształcenia, posiadającego wysokie odznaczenia cywilne i wojskowe. Czyżbyś był z innej gliny? On także pisze źle, nawet bardzo, ostatnie artykuły zamieścił parę lat temu i nikt o to nie ma do niego pretensji, wszyscy go lubią, chwala, traktują z niezwykłą serdecznością. Przecież zauważyłeś, to, odczułeś tę nierówność na własnej skórze. A może po prostu ktoś ci powiedział, że nie masz talentu, a ty powtarzasz to niczym bezmyślne echo, przekazujesz dalej? Uwierzyć w ludzkie słowa, uległość podstępny kłamstwu, dałeś się oszukać. Nawet jeśli nie jesteś pierwszym piórem tego kraju, to wcale nie znaczy, że wleciesz się na szarym końcu. No więc, jak jest z tym naprawdę?

— Jak? — zadałem sobie pytanie. — Może wcale nie jest tak źle, może to tylko brak wiary we własne siły i możliwości sprawił, iż zacząłem gardzić sam sobą.

Przypominam jedną z naszych ostatnich rozmów, kiedy przyniosłem dość duży reportaż o Polakach wyjeżdżających do pracy do innych krajów socjalistycznych. Temat podsunął mi naczelnym, mówiąc, abym sprawę potraktował niezwykle poważnie i na pierwszy plan wysunął

aspekt współpracy międzynarodowej w naszym obozie. „Z czasem — powiedział — staniami się jedną ogromną rodziną i nikogo nie będzie dziwiło, że brat Lech jedzie pomagać bratu Rusowi czy kiedy brat Czech przybędzie nad Wisłę”.

Spędziłem wówczas parę tygodni w podróży, przeprowadziłem sporo wywiadów, zapiełem kilka notek spostrzeżeniami i uwagami, jakie nasunęły mi się w czasie tej nielekkiej pracy. Byłem przekonany, że zrobiłem dobrą robotę dziennikarską.

Kiedy oddałem tekst, wezwał mnie Krawiec. Sądziłem, że chodzi o jakieś drobne uzupełnienia czy poprawki.

— Nie pójdziesz — powiedział oddając mi maszynopis. — Ma złą wymowę polityczną.

— Nie bardzo wiem o co chodzi. — Temat, sam temat jest niezwykle drażliwy. I wcale nie zależy nam na popularyzacji tego rodzaju wyjazdów.

— Temat otrzymałem od naczelnego.

— Redaktor Starzec jest tylko człowiekiem. Ma prawo się mylić. Lecz w tym pokoku pomyłek nie może być. Ja się nie mylę.

— Nigdy? — zdziwiłem się.

— Nigdy. Proszę zapamiętać, że kto wpał ten błądzi. Mnie nie stać na ten luksus. A wracając do naszego reportażu: musi zająć się pan bliżej polityką. Nie, nie namawiam pana do wystąpienia do partii, lecz zwracam uwagę na braki występujące niemal u wszystkich młodych dziennikarzy.

— Przepraszam, nie jestem ani młody wiekiem, ani młody stażem...

— Bzdura. Po dziesięciu latach pracy w dziennikarstwie uważa się

pan za doświadczonego! Dobry sobie. Więc chcę panu uświadomić, że nawet trzydziści lat nie chroni człowieka od popełniania błędów. Tak, tak, nie chroni. A wracając do tego co można, a czego nie można, radzę dokładniej zająć się tym, czym żyje naród w tym kraju. Pan ma wyższe wykształcenie, uczono pana wielo rzeczy, ale tak naprawdę, to o niczym pan nie ma pojęcia. Mogłbym to panu udowodnić. — Przyglądał mi się z powagą, nie mrugając, ani nie zmieniając pozycji.

— Rozumiemy się? — Mówiąc szczerze, nie bardzo. — Tak myślałem. — Panie redaktorze, każdy z nas ma możliwość dochodzenia prawdy. — Jakiej?

— Mam na myśli prawdę obiektywną.

— Taka nie istnieje. Prawda ma tysiące twarzy. W tej redakcji prawda i słusznosc mieszkają w tym oto pokoku.

— Pan reprezentuje władzę, a prawdę...

— W tym przypadku to jedno. Gdyby pan zaniósł swój tekst do redaktora naczelnego, natychmiast zapyta pana, czy był on u mnie. Tak już jest, niestety. I z tym musi się pan pogodzić. Czy chciałby pan istnieć coś jeszcze na temat swojego tekstu?

— Dziękuję.

— Na przyszłość proszę wszystkie tematy zgłaszać do mnie — dobrze?

— Oczywiście.

Przyszłość pokazała, że radzę sobie coraz gorzej. Upadałem z nóg, chwytalem się każdego tematu, nawet zając się publicystyką, co przysporzyło mi wrogów, lecz nie przyniosło satysfakcji. Wyraźnie odstawałem, kończyłem się.

Czy otrzymam odpowiedź na swoje wątpliwości? Znalazłem się w klatce, której ściany, za tajemniczym zrzadzeniem, przybliżają się pozostawiając mi coraz mniej przestrzeni. Zaczynam się dusić w tej zmniejszającej się przestrzeni, w malejącym świecie, w nadciągającej zarości. Złutek Paprocki kazał mi zapamiętać sześćdziesiąty ósmy rok. Mija pierwszy kwartał i nie szczególnego nie wydarzyło się.

Wyjmuję maszynę do pisania i zaczynam na niej wystukiwać kolejny tekst. Ale robię to bez serca.

(cdn.)

RYSZARD BINKOWSKI

ZŁOTE OBRĄCZKI

Lata biegną, a Kapras markotniał, bo nie mu się w życiu nie udawało. Jedni dorabiali się samochodów, druzdy dzieci, inni nawet własnego mieszkania, a on nie, najwyżej parę lat państwowej kwatery w cell. Dobit do dwudziestego siódmego roku życia i nadal był bezzęnnym absolwentem podstawówki z krótką praktyką w rzemiośle, czyli stolarem bez majątku, nie pracującym.

Zakompleksiony był Kapras, pełen talu do świata, toteż, aby zostać zauważonym, robił, co mógł. Związczą po wodce dawał się zauważać. Po wodce tańczył bykiem dwóch niewinnych facetów, doprawił im piątką po twarzach, aaruszając, jak się to mówi, ich nietykność cielesną, i zaraz był w uroeli malej sławki.

Ledwie wyszedł z pudła, a tu mu się nawinął pod rękę niejaki Chmielowiec przed „Marysienką”. Z drogi mu ale chciał ustąpić, więc dokonał na nim rozbój, ale trudno mu to było adowodnić. Jak Kaprasowi nie uwierzył, to się zdenerwował, napalił do roboty kumpla Ochowskiego i do spółki obili solidnie obywatela Drzazgę, rabując mu tezkę z wykrojami rękawiczek, czapkę z futra nutrii oraz długopis.

Teraz już uwierzone, że jest dobry na rozbój i poszedł siedzieć. Wyszedł jeszcze bardziej osowiały, bez grosza, bez ciucha, a pić się chciało. Na szczęście trafiła mu się jedna narzeczona o imieniu Katina, ponieważ był osobnikiem średniego wzrostu, o nalanęj okragłej twarzy, ale włosy za to miał kręcone i dobrą pociechę dla bab, co Katina lubiła.

Narzeczona wzięła go na chatę, dała wikt, i kochała się dobry miesiąc. Ale że od kochania jeszcze nikt nie utył, to Kapras, który lubił zjeść i wypić, ponownie zmarnotniał. A potem się wnerwił i zaczął wrzeszczeć na narzeczoną, że ktoś w tym ducie muśsi w końcu zarabiać, bo inaczej to on, Kapras, nie tylko straci siły do kochania, ale może nawet kopnąć wyciągnąć i nie będzie miał go co pochować. I wpełchnął narzeczoną na złą dro-

gę, wysyłając ją na zarobek po bramach i pod latarniami, z kwatery zaś uczynił tak zwaną melinę pijacko-sutenserską. Jednakże ten interes niewielki przynosił profit, a co przynosił, to szło na gazowanie, przy którym były takie wrzaski, że „sąsiedzi dostawali rozstroju nerwowego. Ponadto Katina zaczynała stroić fochy i wygadywać wrednie, że nie może się wyrobić, bo nie jest żadną brygadzistką z wysiłku pracy, żeby się tak machać akordowo na różne strony.

Dla Kaprasa nastały chude dni. Ale wówczas naszedł go Rysiek, uważany dotąd za szczyła i głupka, użany cioteczny.

2.

Rysiek obrzuł wzgardliwym wzrokiem norę, w której królował Kapras, i spytał:

— To jest ten pałac królowej Katiny?

— Ty nawet tego nie masz — warknął Kapras.

— Bo ja nie orzę w babę.

— Woni! — wrzasnął Kapras. — I że- bym nie słyszał nie złego o Katinie!

— Ona mi się podoba — mruknął Rysiek. — Tylko, że dochodów nie przynosi...

— Masz lepszą?

— Może i mam — szepnął enigmatycznie Rysiek.

Kapras nadstawił ucha.

— Kogo?

Kuzyn uśmiechnął się z pobłażliwością.

— Zapomniałeś, że mamy wspólną ciotkę — powiedział. — A nasza ciotka jeździ za granicę? Przywozi różne błyskotki?

— Nie dla nas — westchnął Kapras.

— Ale może nam pomóc. Mam na myśli obrączki...

— Kto to rozprowadzi?

— Łańcuch może być dostawca. Do moitania klientów przyda się Luneta...

Kapras zastanowił się.

— A twoja Katina — dodał Rysiek — przeleci się po sklepach z upominkami.

— Po co?

— Po towar, balwanie! Tylko w mordę umiesz walić.

W krótkim czasie rozprowadził trzydzieści sześć złotych obrączek. Zarobek był niezły, apetyt rósł, ostatnie więc cztery, od trzydziestego siódmego do czterdziestego upłynęły pośród bliskich znajomych.

3.

Przycisło ich pragnienie, toteż Rysiek wpakował się do krawca Mietka i mówi, że ma zagraniczne złoto do spuszczenia.

— Daję ty mi święty spokój — odparł Mietek. — Ja się w świecieitka nie bawię, jestem zaobraczkowany.

Na to Luneta:

— Toś ty taki? Znajomka Kaprasa nie porażasz?

— Przecież nie siedzi.

— Ale może siedzieć. Zafasowali mu kolegami i nie ma się czym wypłacić.

Krawiec Mietek ulitował się nad Kaprasem i wziął obrączkę za dziewięć stów.

Następnie, jak ta transakcja przeszła tak łatwo, skoczyli do szatniarki w „Teince”. Kapras wpełchnął jej złotą obrączkę drogą okreśną, to znaczy wyjaśnił, że mają ciotkę, co siedzi na zlocie, a Rysiek to jest jego brat i ciotka go bardzo lubi, i daje mu jak głupia to złoto. Chciał tysiąc sześćset ale szatniarka miała tylko tysiąc, po resztę więc mieli się zgłosić następnego dnia. Nie zgłosili się, szatniarkę to zdziwiło, ale jeszcze była spokojna.

Tymczasem handlowcy dorwali znajoma kierowniczkę sklepu. Kapras jej zasunął, że Rysiek dostał od ciotki złotą obrączkę prima sort, prosto z zagranicy. Kierowniczka znała Kaprasa jako stałego klienta, nabywającego przeważnie poranne piwko i różne si- kaczce, lecz mimo to zażądała dowodu osobistego, którego Kapras nie posiadał. Okazał natomiast legitymację ubezpieczalną, szefowa spisała personalia i nabyła obrączkę za równego pacyka.

Luneta w tym czasie ocknął się, zaczął coś przewachiwać i zadawał glu-

pie pytania, wobec czego należało mu urządzić małą scenkę obyczajową. Ze- by się przekonał i zamknął dziób.

4.

Siedzieli w parku. Podszedł facet Lunecie nieznanym (był to Łańcuch) i zwrócił się uprzejmie do Kaprasa:

— Pozwól, kolega, mam coś do opy- lenia.

— Błyszczysz?

— Tak, obrączka. Dasz mi kupca?

— Mogę sprzedać swojej babie.

Luneta naskluchiwał uważnie. Kapras wytłumaczył mu, o co się „rozcho- dzi”.

— Ja mam bliżej kupca — oświad- czył z zapalem Luneta. — Koleżanka z budy, rozwódka...

I zaprzadził ich do Irki. Powie- dział, że ma do zhandlowania obrączkę Katiny, narzeczonej Kaprasa. Irka wzięła obrączkę do domu, obejrzała pod lupą i stwierdziła, że na obrączce jest jakaś próba, numer pięćset osiem- dziesiąt sześć lub osiem, i coś faktyby wybita głowa jakiegoś zwierzęcia. Ma- jąc pewność co do wartości towaru, sprzedała obrączkę swojej siostrze, Ag- nieszce.

— Za załatwienie coś mi się należy — powiedziała wręczając Kaprasowi dziewięćset złotych.

Kapras dał jej stówę, sobie wziął stówę dla Łańcucha zostało siedem. Łańcuch postawił trzy wina. Wypili.

— A ja nie z wami nie załatwiałam — powiedziała na pożegnanie Irka.

— Łańcuch wrócił forsz Kaprasowi i było gites.

Ala ta głupia Agnieszka zrobiła pranie w obrączce, która zaraz zmieniła wygląd. Całkiem zaśniedziała, „próbę” gdzieś zgineję. Agnieszka poleciała do jubilera, żeby wycenił obrączkę.

— A za ile pani kupiła? — zapytał jubiler.

— Za dziewięćset.

Jubiler z pobłażliwym uśmiechem podrzucił obrączkę na dionę.

— To nieźle — powiedział. — Metal kolorowy, ale krztyn złota w tym nie ma. A kosztuje to cudo osiemnaście złotych...

Agnieszka weszła do raban. Irka ganiła za Kaprasem, lecz grosza z niego nie wyciągnęła. Kierowniczka sklepu też poleciała do jubilera, który wycenił jej obrączkę wyżej, bo na dwadzieścia dwa złote. No i Kapras się podzielił...

Ala opłacało mu się kupowanie tych obrączek w sklepach z upominkami. Opłacało mu się również kupienie pami- otki ścieralnej, która ścierała znaki na wewnętrznej części obrączek. Wczystym miejscu ryl swoje znaki. Renoma złot- odajnej ciotki robiła swoje. A dlaczego Kapras zawsze dobrze wychodził? Bo stopa u nas rośnie i ludzie nie ma- ją luzu na co wydawać nieniedzy. Wrz- ze stopa rośnie natłwoność. A rozsądku ubywa.



LEK

człowieka według swojej oryginalnej koncepcji metaboliczmu informacyjnego, omówionej szerzej w innych wydanych dziełach. W monografii leku prof. Kepiński mówi o zjawisku najbardziej przenikającym w ludzkie życie, zjawisku tak w formie jak i patologii niezwykle ważnym dla zrozumienia fizjologicznego funkcjonowania człowieka oraz psychologicznych praw rządzących jego zachowaniem.

Lęk, który stanowi również zadziwienie filozoficzne, jest zjawiskiem, które w świecie zwierzęcym i ludzkim leży u podstaw jednego z najbardziej podstawowych mechanizmów adaptacyjnych, przygotowujących organizm do walki lub ucieczki.

Istnieje wiele przyczyn, mających wpływ na zjawisko lęku w różnych dziedzinach życia. Autor widzi to dziedziczne, opisuje je często bardzo szeroko, ukazując lęk od strony egzystencji ludzkiej, zjawisk społecznych, zjawisk filozoficznych, nie pomijając przy tym strony biologicznej.

Książka napisana jest z pozycji lekarza, znającego doskonale tajniki psychiki człowieka.

Antoni Kepiński — „Lęk”, Państwowy Zakład Wyd. Lekarskich, cena 60 zł.

REPORTER STRZELA

Przed laty ukazał się tom reporterski pt. „Kropka, ale nie koniec...”. Szkoda, że potem tego znakomitego zioru nie wznowiono, bowiem do dziś jest to jedna z najlepszych książek reporterskich. Otoż tematem owej antologii były zdarzenia, które z różnych względów nie stały się tematem reportażu. Spora grupa reporterów — dziś wielu z nich to najwybitniejsi polscy pióru — opisała wydarzenia fascynujące, bądź zwykłe i codzienne, dopisując do nich również charakterystyczne przyczyny i motywacje, dla których wydarzenia nie stały się w swoim czasie tematem publikacji.

Przypomniała mi się tamta książka, gdy wziąłem do ręki tom zebrany przez Edmunda Żurka — „Reporter strzela”. Jest to zbiór reportażów z cyklu tygodnika „Argumenty” sprzed ponad dwóch lat.

Temat owego cyklu brzmiał: „Moja najtrudniejsza sprawa”. Przypadało mi, że przypomina to nieco ową temat z książki „Kropka, ale nie koniec...”. I tutaj bowiem, w relacjach reporterskich, kropka rzadko oznacza koniec. Autorzy piszą i wciąż dopisują nowe dzieje swoich bohaterów i spraw będących tematem relacji.

Jest to bardzo interesująca książka, nie tylko dlatego, że współtworzą ją m. in. tacy autorzy jak Jerzy Ambroziewicz, Stefan Koziński, Edmund Żurek, Anna Stronka, Aleksander Ziemiński, Jakub Kopec czy Lech Borski. Jest to ciekawa książka, bowiem reportaże w niej zamieszczone mówią tyle samo o bohaterach reportażu co i o reporterach. O ich zaangażowaniu i pasjach. O ich poszukiwaniu prawdy. O ich trudzie w dotarciu do opisywanych faktów i zdarzeń. O namietaniach reporterów pragnących zgłębić skomplikowane mechanizmy konfliktów, w jakie uwickali się bohaterowie reportażu. Czasami głównymi bohaterami tych reportażów byli ich autorzy.

I może właśnie dlatego jest to książka wiarygodnym dokumentem współczesności, bo mówi o trudzie i uwikłaniach zarówno bohaterów zapisu jak i samych autorów.

„Reporter strzela”, Wyd. KiW, cena 25 zł.

HISTORIA SZUKI

Wydane niedawno dzieło prof. Karola Estreichera „Historia sztuki w zarysie” było wielkim wydarzeniem naukowym i edytorskim. Drugie — rozszerzone — wydanie tego dzieła stało się również wydarzeniem czytelnictwa. Mimo ogromnego nakładu jak na tego rodzaju publikację — 50 tysięcy egzemplarzy — dzieło profesora Estreichera jest poszukiwane przez rzeszę czytelników.

„Czym jest sztuka?” — pisał autor, — Najbardziej rozpowszechniony jest pogląd, że sztuka to piękno widziane przez artystę. Ten pogląd wsparty jest drugim, także szeroko rozpowszechnionym, że piękno jest to, co kto lubi, co się komu podoba. Owa te poglądy wyrastają z podstaw sięgających starożytnej idealistycznej estetyki greckiej. Jej wyrazicielem był Platon, który utworzył świat idei bytujących niezależnie od nas. W tym świecie sztuka znalazła swoje miejsce jako wyrazicielka idei. Zadaniem artysty było więc piękno przywołać i okazać.”

O dziejach sztuki pisze Estreicher na ponad 550 stronach opatrzonej ogromną ilością ilustracji — niestety — w większości czarno-białych. Ten zwięzły przegląd dzieł sztuki zaczyna się od prehistorii i starożytności Egiptu, kończy zaś na sztuce XX wieku. Księga ta zapoznaje nas także ze sztuką bardzo mało znaną w europejskim kręgu kulturowym. Pisze Estreicher także o sztuce Afryki, Australii i Oceanii, wspomina o kulturze Majów, Azteków, Olmeków. Jak każdy prawdziwy i rzetelny uczonec prof. Estreicher podaje również „kosmiczne” wersje interpretacji np. słynnego kamiennego kalendarza azteckiego w Tenochtitlan.

Słowem jest to coś w rodzaju leksykonu, encyklopedii sztuki świata od początku powstania rodzaju ludzkiego. „Historia sztuki w zarysie” powinna znaleźć się na półce każdego kulturalnego człowieka.

Karol Estreicher — „Historia sztuki w zarysie”, PWN, cena 150 zł.

PODRÓŻE IWASZKIEWICZA

Dwie podręczne książki przedstawia nam Jarosław Iwaszkiewicz w roku 1977. Pierwsza nosi nazwę „Podróż do Polski” i składa się z wierszy napisanych w ciągu wielu lat wrażeń z wypraw z wędrowców po Polsce. Sam autor we wstępie do książki pisze, że od dawna kłopotowała w nim myśl, „aby swoje liczne podróże po Polsce, liczne obcowania z obliczem tej krainy i znajomości, chyba nie powierzyć polskiemu, polskiego pejzażu i obyczajowi, polskiemu wczoraj i dziś, objąć jedną kompozycją i opowiedzieć czytelnikowi, jakie jest piękno oblicze tej krainy z pozoru nieprzystępnej, niepewnej, a kryjącej w sobie tyle treści i tyle piękna.”

Drugą natomiast przygodą podróżniczą sędziwego pisarza są Włochy. „Podróż do Włoch” to następna książka Iwaszkiewicza. Znany jest sentyment do Italii autora „Opowieści włoskich”, nie więc dziwnie że ta książka powstać musiała. „Pisząc ją — wyznaje Iwaszkiewicz — starałem się uniknąć nudnej chronologii, choć jest to opis podróży przedsięwziętych na przestrzeni przeszło pół wieku. Uważam, że bardziej zainteresuje Czytelnika pewna nie rozkawałkowana całość, nie podzielona chronologicznie na osobne lata; ujętych on wtedy pewną całość moich podróży tak, jak one spletały się i przeplatały w moim wspomnieniu, tworząc obraz moją, złożony z rozmaicie zabarwionych kamyczków.”

Ten obraz, jakoby całość masy skomplikowanych a różnorodnych wspomnień, tak jak istnieją one w pamięci pisarza, odtworzony jest w „Podróżach do Włoch”.

Obie te książki wchodzi w skład nowej serii PIW, redagowanej przez Pawła Hertza. W planach serii przewidywane są m. in. Teofila Gautiera „Podróż do Hiszpanii” i „Podróż do Rosji” oraz Wolfganga Goethego „Podróż włoską”.

Jarosław Iwaszkiewicz — „Podróż do Polski”, PIW, cena 40 zł, „Podróż do Włoch”, PIW, cena 75 zł.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

MÓJ PRZYJACIEL BADZIAK

Karol Badziak jest dobrze zapowiadającym się dziennikarzem prasy technicznej. Przed paru laty zaprotegowaliśmy go do miesięcznika „Prasa Polska”, wymyśliłem mu tytuł cyklu felietonów i puściłem na głęboką wodę publicystyki. Trzeba przyznać, że Badziak mi się sprawdził, ale... Otóż zawarliśmy dziesięćletnią umowę, w myśl której Badziak będzie przynajmniej w co drugim felietonie w „Prasie Polskiej” wymieniał moje nazwisko. Obojętne zresztą w jakim kontekście — dałem tu Badziakowi wolną rękę, w myśl zasady, że niech pisze dobrze lub źle, byle o człowieku pisał.

Od paru już lat Badziak sumiennie wywiązywał się z umowy, pisząc co prawda głupstwa, ale przecież nie o to chodzi. I oto od trzech miesięcy w felietonach „Prasy Polskiej” brak mojego nazwiska. Więcej powiem. Zdarzyło się ostatnio raz czy drugi, że w „Prasie Polskiej” w ogóle nie było felietonu Badziaka.

Zaniepokoiło mnie to, bowiem mogło świadczyć, że mo-

jemu protegowanemu i — bądź co bądź pojętnemu — uczniowi zabrakło tematu. A to już jest śmierć zawodowa felietonisty.

Wezwiałem więc Badziaka i mówię: „Słuchajcie no, Badziak, co się z wami dzieje? Życie dokoła tętni i idzie na przód, publicyści pchają sprawę do przodu, a wy w ariergardzie...” Wytłumaczyłem zresztą od razu, że ariergarda znaczy straż tylna, żeby nie było między nami niedomówień. No i zwróciłem prywatnie uwagę, że bardzo niedobrze, jak się ktoś nie wywiązuje z umowy, tzw. dziesięćletniej, aczkolwiek to słowo dziś nie zupełnie nie znaczy.

Zapodałem następnie Badziakowi temat najbliższego felietonu. Brzmi on: „Dziennikarze piszący i nie piszący”. Felieton ten ukaże się — przyrzekł mi Badziak — najdalej we wrześniowym numerze „Prasy Polskiej”. A jak się mój uczeń i przyjaciel przyłoży i przysiadzie faldów, to może nawet jeszcze w numerze sierpniowym.

Temat felietonu Badziaka nie

jest taki bezsensowny, jak by się mogło wydawać na pozór. Funkcjonują przecież w zawodach ludzie, którzy zawodowo nie istnieją. Są aktorzy, którzy mają etaty w teatrach i w ogóle nie grają. Są pisarze, którzy wydali kiedyś przed wojną jedną książkę i w ogóle nie piszą. Są też dziennikarze, którym pisanie sprawia nie- możliwą do pokonania trudność — więc w ogóle nie piszą. Mają etaty i tytuły redaktorów, ale nie piszą. Najczęściej zresztą także nie czytają. Są w końcu reżyserzy filmowi, którzy mają etaty w zespole filmowym i w ogóle nie realizują filmów.

Żeby ktoś nie pomyślał, że to zjawisko dotyczy tylko tzw. środowisk twórczych, dodam jeszcze, że są dyrektorzy, którzy w ogóle nie wiedzą o co chodzi w instytucjach, gdzie mają etaty — w związku z czym nie rządzą. Są działacze, którzy nie działają. Na przykład działacze komitetów blokowych i osiedlowych.

Tak więc temat, który podsunąłem Karolowi Badziakowi

jest tematem uniwersalnym. Jak się mój uczeń i przyjaciel z niego wywiąże — zobaczymy. Co do jednego jestem pewien — nie polubią go za to Dziennikarze Nie piszący. Bowiem Dziennikarze Nie piszący, tak jak Nie piszący Pisarze... itp. żywią gwałtowną niechęć do Piszących. Co jest zresztą normalne, jako że trudno pogodzić wodę (letnią zazwyczaj) z ogniem (choćby nawet niewielkim).

WIDOK

P.S. Czytelnikom, którzy chcieliby potraktować mój felieton zbyt serio, wyjaśniam, że wszystko co powyżej napisano, stanowi oczywiście nieprawdę, albo prawdę w stopniu ograniczonym. Prawdziwe jest tylko nazwisko Karola Badziaka, który w jednym z najbliższych numerów miesięcznika „Prasa Polska” opublikuje rzeczywiste dysertację na temat dziennikarzy piszących i nie piszących.

W.

LEWYM OKIEM

NIE PROBLEM

Dni 24 i 25 czerwca były gorące i mleko łatwo się kwaśliło. Normalnie otrzymuję mleko rano, roznosiciel przynosi je stawia pod drzwiami trzy butelki. Słychać go już od parturu, bo roznosiciel jest zły, że tak rano musi dźwigać ciężkie skrzynki i wspinąć się po schodach, a inni śnią sobie wtedy spać. Ze złością miota butelkami, ciągnie skrzynki po schodach, aż szyby brzęczą i politura z mebli odskakuje. Wiele normalnie roznosiciela słyszymy.

Ala w dniu 25 czerwca było cicho, mleka nie przyniesiono. Oczywiście nie pierwszy raz, takie rzeczy zdarzają się co parę tygodni, nikt nie na to nie poradzi, wszyscy milczą i czekają następnego dnia. Wszyscy przecież przez całe życie tylko czekamy na czyjaś łaskawość, wiedząc dobrze, że żądanie czegośkolwiek byłoby grubym nieaktownością społeczną. Ten jeden raz w dniu 25 czerwca tym się

od innych różnił, że pani kierowniczka w sklepie który organizuje dostawę mleka do domu, na pytanie dlaczego nie było rano roznosiciela, odpowiedziała rozbrajająco: przecież wczoraj było Jana!

Pani kierowniczka dziwiła się, jak można nie rozumieć. Było Jana, więc roznosiciel — tak się należało domyślać — miał prawo się urządzić i nie przyjechać do pracy. Około południa mleko przyniesiono, ale skwaszone i wstrętne. Nikt nie powiedział słowa. Możemy przecież nie zamawiać mleka a przynosić do domu, jak nam się coś nie podoba. Czym mniej tego noszenia, tym lepiej. W ogóle — czym mniej klientów, tym lepiej.

Roznoszenie załatwiamy w sklepie odległym o kilkadziesiąt metrów. W tym samym sklepie kupujemy pieczywo. Mamy drugi, nawet większy od tamtego sklep bliżej domu, ale w tym bliższym jeszcze nigdy nie

udało nam się kupić chleba. O ósmej rano: już nie ma. O siódmej rano: już nie ma. O pół do siódmej: przed chwilą sprzedałam ostatni bochenek. Czego się pan denerwuje — mówię do mnie kierowniczka — przecież ktoś musiał być ostatni. Kierowniczka ma rację. Mogę przecież nie jeść chleba albo kupić go sobie gdzie indziej. Najlepiej byłoby w ogóle chlebem nie handlować, bo zysk marny a kłopot duży. A jeszcze lepiej niczego nie sprzedawać, usiąść za piramidą soków Dodoni i czekać na pensję.

Dużo mówi się o konieczności wyrobienia sprawności manualnych u dzieci; dużą wagę przywiązuje się też do zajęć praktycznych w szkole, a także do odpowiedniego kierunkowanej zabawy młodzieńczego obywatela. Niech sobie na przykład majsterkuje, przybija, pluje. Sklep Czuj-Czynu wystawia w oknach apetyczne

komplety narzędzi, młotki, pilniki i laubzegi (te ostatnie pewnie mają już jakąś inną, śliczną a sztuczną nazwę, niestety nie wiem jaką). Otóż bardzo proszę, nie kupujcie swym dzieciom laubzegi. Pileczki — takie cieniutkie jak drucik, którymi można wycinać z dyktu (pardon: ze sklejk) najwymsienniejsze kształty — pekają łatwo i trzeba mieć pewien zapas, jeśli się chce w ogóle coś robić. A takich pileczek nie dostaniecie ani w Łodzi, ani w Warszawie ani nigdzie. Nie ma, nie będzie, nie dostajemy. To po co są w sprzedaży laubzegi? Nie wiem, ale niech się pan nie denerwuje. Przecież gdyby pan nawet dostał pileczki, to i tak nie ma dyktu. No to po co są laubzegi? Ech, nudziarz z pana. Cóż to za problem, panie Cwiek?

Mleko nie problem, pilki nie problem, dykta nie problem. Fajnie się żyje: bezproblemowo, nie?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

POTRZEBA RÓŻNORODNOŚCI

Ludzie od dawna wiedzą, że wojsko stanowi dobrą szkołę życia i niejednemu już wyprostało charakter. Do wojska poszła też piosenka i jej również wyszło to na dobre. Wprawdzie wszelkie podziały piosenki na studencką, turystyczną, wojskową, harcerską i tak dalej, wydają mi się umowne, jako że prawdziwy jest tylko jeden podział, na dobrą i złą, ale to inna sprawa i nie ma co kruszyć kopii o nią, bo podzieliły te choć sztuczne funkcjonalny nadal i będą funkcjonowały. Stąd też i taka mnogość festiwalu piosenki, bo gdzie indziej ocenia się piosenkarską twórczość studentów, gdzie indziej harcerzy i dla harcerzy, gdzie indziej piosenkę zaangażowaną, a jeszcze gdzie indziej wojskową. Te ostatnia w Kolobrzegu.

Lato u nas jest krótkie i jego przemijanie można mierzyć festiwalami piosenki. A więc na początku lata jest O-pole, trochę później Kolobrzeg, i kiedy minie Sopot, to wiadomo, że mają również i lato. Festiwalu kolobrzezkiego mamy już za sobą, więc lato w pełni, chociaż pogoda na to nie wskazuje, ale to już inna sprawa. Lipiec najczęściej jest deszczowy, nawet film pod takim tytułem nakręcono, więc dla czego w tym roku miałyby być inaczej? Ale mimo wątpliwej jakości lipca Festiwal Piosenki Zolnierskiej cieszył się w Kolobrzegu dobrą frekwencją i ludzie

tego nie żalowali. Bawili się całkiem dobrze.

Nie mam zamiaru oceniać kolobrzezskiego festiwalu, ale jedno zwróciło moją uwagę. Fakt, że nagroda publiczności zbiegła się z nagrodą jury, a stało się to przy piosence „Strzelec podhalański”. Ta zbieżność opinii potwierdziła tylko, że służba wojskowa wyszła piosence na dobre. Wiadomo bowiem, czego w tej dziedzinie potrzeba wojsku. Potrzeba rytmicznych, prostych, łatwo wpadających w ucho piosenek. Potrzeba piosenek o wojsku, o jego przeszłości i teraźniejszości. Nie ma tu miejsca na bezproduktywne zawodzenie, lamenty i cierpienia nad dolą tych którym się wszystko nie udaje. Jednolitość kryteriów daje — jak to pokazał Festiwal w Kolobrzegu — pozytywne rezultaty, choć nie wszystko, co usłyszeliśmy w Kolobrzegu może otrzymać znak jakości. Ale też nie przesadzajmy w wymaganiach.

Nie chciałbym przeciwstawić obu festiwalu. Inny bowiem mają charakter. Są w zasadzie nieporównywalne. Ale przecież oba rozgrywają się publicznie i mają coś wspólnego. Widownia. W Kolobrzegu widownia się nie nudziła. W Kolobrzegu widownia była potrzebna. Ten fakt czyni ten festiwal tym bardziej sympatycznym. Tu nie było barowania się jury z tłumem „Ignorantów”. W Kolobrzegu było wia-

domo, że ten festiwal jest dla ludzi, a nie dla elity koneserów. Zresztą koneserzy uznają ten fakt niewątpliwie za negatyw Kolobrzezu.

Po Opolu napisano wiele na temat piosenki. Jaka powinna być, jakiej nam potrzeba. Przywołano dawne szlagiery. Broniono „Kolorowych jarmarków” Janusza Laskowskiego, których jury nie doceniło, broniono „Jak się masz kochanie!”, które uznano za szlagier, śpiewany przez całą Polskę, a dla prezentacji którego w Opolu potrzeba było pokretniej argumentacji „samego” Jonasza Kofty, że to niby sami widzowie chcieli, a skoro chcieliście, no to macie, „skumbrie w to macie”. Hasło: „Ludzie tego chcą” używa się — jak z tego widać — w różnym kontekście. Najczęściej jednak jako usprawiedliwienie.

W kulturze i sztuce sprzeczności między „znawcami” a „ignorantami” jest duża i bogata. Teraz właśnie — z okazji emisji radiowej adaptacji „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza — Jerzy Kwieciński przypomniał w „Głosie Robotniczym” krytyczne uwagi Bolesława Prusa o książce Henryka Sienkiewicza. Specjaliści mają wiele takich uwag na temat całej „Trylogii”, w której ścisłość historyczna nie zawsze idzie w parze z fantazją autora. Dotyczy to nie tylko „Ogniem i mieczem”, dotyczy to również „Potopu”, a szczególnie obrony

Czestochowy. Ale ludzie chcą „Trylogii” i należy ona do stałego repertuaru czytelnictwa, czego nie można powiedzieć o krytyce twórczości Henryka Sienkiewicza.

Nie jedynie to zresztą przypadek. Mógłbym przywołać klasyczny już przykład „Tredowatej”, o którą spór ciągnie się latami i budzi wielkie namietności. Ale nie o to chodzi. Myślę, że rzecz cała leży w zbyt- niej skrajności. Albo — mówiąc dosadniej — w braku tolerancji. Festiwal opolski był tego najlepszym przykładem. Organizatorzy skierowali swoją uwagę tylko w jednym kierunku: na piosenkę tzw. artystyczną, rugując i lekceważąc wszystko, co pod to kryterium nie pasuje, a jeśli już coś dopuszczając, to na zasadzie użmalkowania i przeciwwagi. Ze to niby nie są tacy jednostronni. A przy okazji, aby było tło dla tego, co umiłowali.

Tymczasem w kulturze musi być różnorodność. Ludzie chcą i poezji i łatwych, przyjemnych piosenek. Przykładem może być „Lato z radiem”, którego słuchacz domagał się poezji i Krzysztofa Kolbergera, który im tę poezję czytał w roku ubiegłym. Ale też stale proszą o piosenki, o przeboje z lat dawnych. Warto przeto zastanawiać się nad takimi zjawiskami. Występują one nie tylko w przypadku piosenki. Można się z tym spotkać w innych dziedzinach życia kulturalnego również. Różnorodność nie przeczy wybitności, raczej ją zakłada.

MARCIN RODAK

magazyn



Fot. Archiwum

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

W krzywym zwierciadle

Przyjechałem do Opola o święcie i od razu zorientowałem się, że pogoda tym razem dopisze. Sceptycznie popatrzyłem na mój czarny parasol — jeszcze wczoraj w Łodzi padało. No cóż, skoro nie ma deszczu, to mój parasol — pomyślałem — przyda się jako ochrona przed zalewem piosenkarskiej szniry. Tej ostatniej — jak się później okazało — z małymi wyjątkami (największy „kiks” ostatnich paru lat to przyznanie nagrody dziennikarzy Januszowi Laszkowskiemu i jego „Kolorowym jarmarkom”) nie było na tegorocznym festiwalu zbyt wiele, ale osłaniać się trzeba było przed ulewą słowno-muzycznych dziwłagów.

Pierwsze kroki, jak zwykle, kieruje się do festiwalowego Biura Prasowego. Tak było i tym razem. A tu niespodzianka! Okazało się bowiem, że w tym roku dziennikarzy akredytowanych przy jubileuszowym, XV Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki, podzielono na... dziennikarzy i obserwatorów. Czemu ma służyć ten podział — trudno dociec, bo sami organizatorzy dokładnie tego nie wiedzieli. W każdym razie była to pierwsza z festiwalowych nowości, których tak wiele zapowiadano.

W amfiteatrze, przez tych kilka dni prawdziwym centrum „stolicy polskiej piosenki”, bez reszty zapanował Radiokomitet. Scenografia ze „Studia 2” rodem to pierwszy krok Mariusza Waltera i jego ekipy w kierunku zrewolucjonizowania skostniałych form piosenkarskich konfrontacji na Śląsku Opolskim.

Otóż właśnie — na Śląsku Opolskim. W tym roku współorganizator KFPP — Towarzystwo Przyjaciół Opola — postawił sobie za punkt honoru zapoznanie gości (dziennikarzy i obserwatorów) z regionem i jego problemami. Stąd właśnie codzienne wyjazdowe konferencje prasowe m. in. w Bierkowicach (skansen czyli Muzeum Wsi Opolskiej), Brzegu, Kędzierzynie. Choć w rezultacie wyprawy te okazały się dla niektórych nieco zbyt męczące.

Ala o rzeczy. Miejsce w amfiteatrze miało dobre, tzn. mniej więcej pośrodku, co w tym roku miało o tyle istotne znaczenie, że ten, kto siedział dalej i z boku nie widział wykonawców, a mógł sobie za to poobserwować rusztowanie z metalowych rurek, które stanowiło element dekoracji. Siedziałem tedy na wprost estrady i patrzyłem, i słuchałem.

Tuż obok mnie natomiast stał duży monitor (a właściwie telewizor) z kolorowym obrazem, na który można było popatrzeć, gdy znużono się bezpośrednio oglądanie festiwalu. Tak to sprytnie red. Walter wymyślił.

Po powrocie do Łodzi przekonałem się, że na temat poszczególnych festiwalowych utworów widzowie-telewidzowie mają wyrobione zdanie. Przyznam się szczerze, że ja też. Tyle tylko, że świadomie nastawilem się na to, że ostatni festiwal opolski był festiwalem utworów, a nie piosenek. W repertuarze uczestników konkursowych imprez było wszystko: poezja śpiewana, utwory muzyczne z poetyckimi tekstami, wiersze recytowane z towarzyszeniem dźwięków muzycznych, ujęzowione pieśni, wokalne-instrumentalne eseje, utwory humorystyczne i kabaretowe wreszcie. A prawdziwych piosenek — tyle co kot (a właściwie mały, biały pies) naplał.

Idąc śladem festiwalowych koncertów, próbuję sobie przypomnieć, jakie propozycje — spośród zaprezentowanych przez trzy zespoły realizatorów — zasługiwały na uwagę. Okazuje się się wówczas, że na uwagę — więcej, na uznanie zaś — zupełnie mało. Pamiętam jako żywo konferansjera wychodzącego na estradę z zawołaniem: „Proszę jurorów o oceny — trzy, cztery”. I dalej: „Pan Adriański — trzy, pan Hussa-kowski — cztery... itd”, ale wszystkie werdykty okazywały się w konsekwencji większymi lub mniejszymi pomyłkami.

Bardzo ostro reagowała w paru przypadkach publiczność, co zazwyczaj o czymś świadczy. Ale cóż, nagrody przyznano, a obroną ręką ze spotkania z jurorami wyszedł Marek Grechuta. Poza tym, że skomponował on muzykę (w której porzucił fragmenty pewnej znanej pieśni) i zaaranżował (współ z Janem Kantym Pawluskiewiczem) utwór nagrodzony najwyższą, to pokusił się o zmontowanie „warstwy słownej” utworu, wybierając szereg cytatów z twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza. Potem Grechuta przylepił Witkacemu tytuł — „Hop, szklanka piwa” i zaśpiewał całocia, a że piwoszy u nas nie brakuje... Inaczej rzecz się miała z kolejnymi dwiema nagrodami, wśród których tylko jedna przypadła piosence („Song o cięści”) i to w dodatku nie całkiem klasycznej. Nikt natomiast nie martwił się o to, co w uszach słuchaczy zostanie z tego „Opola”. Tak też prawie nic nie zostało.

Zostało natomiast dobre wrażenie, jakie wynieść było można z Teatru im. Jana Kochanowskiego, w którym — pierwszego festiwalowego wieczoru — odbył się koncert „Debiuty — Opole 77”. Całość wypadła niezłe, laureaci — najlepiej, pozostali, zapowiadani przez Marię Wróblewską — nie gorzej. Nawiasem mówiąc, Marię Wróblewską sprowadzono do Opola w ostatniej chwili, wysyłając po nią do Poznania śmigłowcem „Studia 2”.

Skoro już jestem przy zapowiadających, to zauważyć muszę, iż w tym roku mieliśmy ich wielu. W pierwszym dniu „amfiteatralnym” powierzono prowadzenie imprezy trójce disc-jockey'ów; niestety, Jana Kras i Zbigniew Niemczycki wypadli fatalnie. Nawet Krzysztof Szewczyk w tym towarzysztwie — obniżył loty. Pani Ewa (Lemańska) zaś — spełniając rolę gospodyni wieczoru — usiłowała być śmieszna i dowcipna. To pierwsze udało się, z tym drugim było znacznie gorzej, i nie pomogła nawet noga odkryta do samej szyi. Poniżej poziomu krytykowania zszedł ze swoim sposobem bycia i profesjonalizmem scenicznym pan, który zapowiadał „III Koncert Opole 77”. Na tym tle dobrą formą konferansjerską błysnęli: Tadeusz Szuk i Andrzej Jaroszewski, jeden z nielicznych u nas fachowców posiadających nie tylko obycie estradowe, ale także wiedzę o przedmiocie.

Winiem jestem jeszcze Czytelnikom słowo na temat tzw. drugiej części koncertów w amfiteatrze. Ale i tutaj darmo szukać pociechy, bowiem poza przedstawioną w drugim dniu festiwalu rock-opera Janusza Komana i Bogdana Olewicz, „3400 lat po Ikarze”, pozostałe dwa „widowiska”, a raczej ich autorzy, powinni podlegać karze.

Najprzyjemniej i bezkrytycznie, z „urokiem, wdziękiem i bezpretensjonalnością” (co propagował w swoim świetnym recitalu Wojciech Młynarski) przebiegały imprezy towarzyszące XV Krajowemu Festiwalowi Polskiej Piosenki w Opolu. Oczywiście, mam na myśli nie „O zachowaniu przy stole” Andrzeja Białusza w wykonaniu Teatru na Targówku czy Rodowicz-show, ale wieczornocne spotkania w restauracji „Opole”. A że kuchnia tamże popuła się do reszty, odczytując się od głównego nurtu festiwalowego, częściej bywając w „Karczynie Słupskiej”, gdzie zrozumiała sensację wywołała moja letnia koszulka — kupiona oczywiście na jarmarku „Dziennika Popularnego” przy Moniuszki — z emblematem nalepki monopolowej „Extra-Zytnia” na piersiach.

Stąd też obserwowałem tegoroczny festiwal, stojąc na uboczu wydarzeń, co — być może — sprawiło, iż ujrzałem go w krzywym zwierciadle. Ale jestem przekonany, że lepsze krzywe zwierciadło niż żadne.

CHARAKTER I GWIAZDY BARAN

Lato, KANIKULA — gwiazda z konstelacji FSA pojawiła się już nad Ziemią. Jej nazwa zaś — w naszym codziennym słowniku. W upalne noce częściej kierujemy wzrok ku gwiazdom. Sledzimy lot spadających gwiazd na roziskrzonym niebie, wypatrujemy zarysy gwiazdozbiorów i konstelacji. Szukamy czuwających nad naszym losem planet. Z koloru nocnego nieba wrózmy pogody.

W najgorętszych miesiącach roku jak gdyby bardziej odczuwalna jest obecność KOSMOSU.

Nieprzypadkowo też na okres lata przypada największa liczba zawieranych małżeństw. Astrologowie i poeci dawno już wykryli tajemny wpływ letnich upałów na rozbudzenie upałów... miłości. Czy gwiazdy mogą również pomóc w odnalezieniu idealnego partnera, w poznaniu własnych możliwości, słabych i mocnych cech charakteru?

Spróbujmy choć w części odpowiedzieć na te pytania. Dziś — BARANOM.

BARANY, podnieście głowy, spojrzcie w niebo... Przymrużcie oko... No, teraz już możemy zaczynać!

BARAN (urodzony między 21 marca a 20 kwietnia) — znak wojowników i pionierów.

Cechy główne: energia, impulsywność, entuzjazm, stanowczość, przedsiębiorczość, bogate życie duchowe.

PLANETA: Mars, KOLOR: czerwony, KAMIEN: ametyst i diament, METAL: żelazo.

Mezyczna spod znaku BARANA obdarzony jest nymyslowością, przedsiębiorczością, zdolnościami wodzowskimi i pionierskimi. Jego energia i zapał są właściwie nieograniczone. Mądrze je wykorzystując może zająć daleko, a swym entuzjazmem pociągnąć także innych.

Przywiązuje wagę do wyglądu zewnętrznego. Choć nie zawsze kieruje się dobrym gustem, dba o schludny, porządkowy wygląd.

Nadaje się znakomicie na kierownicze i odpowiedzialne stanowiska, gdyż pokonywanie trudności sprawia mu satysfakcję. Niezależność od tego gdzie rzuca go los, jest zawsze pełen nadziei i posiada szczególny dar zapominania o niepowodzeniach. Będzie z natury impulsywny — często prowokuje sytuacje, których mógłby uniknąć. Silność i przyjaźń zajmują wiele miejsca w jego życiu. Zaden mezyczna nie jest bardziej szczerzy w okazywaniu uczuć. Skłonność ta często wpada go w kłopoty. Będzie konsekwencją nieprzemysłanych małżeństw. Do lat 40 może spędzić czas na poszukiwaniu drogi życia, lecz ostateczna decyzja powinna zapaść w średnim wieku. Niestety, jego impulsywna natura sprawia, że droga do szczęścia może wiele nawet przez kilka małżeństw. Wielu problemów BARAN by uniknął, gdyby nie dawał ponieść się namiętnościom i samolubstwu. Powinien także troszczyć się o zaufanie otoczenia i powierzać innym część swojej pracy.

Kobieta spod znaku BARANA posiada cechy tego znaku — w porównaniu z męskim odpowiednikiem — łagodniejszą. Nadal jednak dominują żar i żywotność, kojarzone zwykle z tym znakiem. Nie wytrwała w pracy, zwłaszcza nie znosi zajęć monotonicznych. Potrzebuje swobody działania i szerokiej możliwości. Również w małżeństwie, dlatego nigdy nie będzie jej odpowiadać rola „kurki domowej”. Udana kariera zawodowa może jednak polać się z szczęśliwie dobranym małżeństwem.

Choć uosobienie posiada dalekie od łagodności, dzięki swej żywej osobowości jest zawsze chętnie widziana w towarzystwie. Uosabia typ kobiety silnej i dumnej. Często więc w miłości przyciąga słabszych partnerów, zazwyczaj unieszczęśliwiających ich. Idealny dla niej byłby typ silnego mężczyzny. Jeśli w życiu nie odniesie sukcesów, łatwo podda się stresom i frustracjom.

CHARAKTERYSTYKA ZEWNETRZNA: osobnik spod znaku BARANA jest bardzo żywy, ruchliwy, poręczny, „energiczny. Zazwyczaj dobrej budowy. Ma mocne rysy twarzy, włosy gęste, zwykle kręcone. Panowie — długie, muskularne ciało, szerokie ramiona, długi, prosty nos, wystające kości policzkowe, panie — gruba talia, proste brwi, wąskie usta, rumiane policzki, krótka szyja, małe stopy.

Każdy Znak Zodiaku rządzi inną częścią ciała. W wypadku BARANA — głowa. Jest ona jego najważniejszą częścią ciała.

IDEALNYMI PARTNERAMI DLA PANÓW spod znaku BARANA są:

— w miłości i w małżeństwie: Lew, Strzelec, Ryby,

— w seksie: Baran, Bliźnięta, Waga,

— w interesach: Baran, Lew, Strzelec, Koziorożec,

— w przyjaźni: Lew, Strzelec.

IDEALNYMI PARTNERAMI DLA PAŃ spod znaku BARANA są:

— w miłości i w małżeństwie: Lew, Strzelec, Ryby,

— w seksie: Baran, Bliźnięta, Waga, Ryby,

— w interesach: Baran, Lew, Strzelec, Wodnik,

— w przyjaźni: Baran, Lew, Waga, Strzelec, Ryby.

PORADNIK GWIEZDNY DLA PAŃ spod znaku BARANA:

W większości wypadków zainteresowanie panów spod znaku BARANA jest nagłe, bardzo fizyczne, toteż szybko wygas, choć BARAN lubi gwałtowne podboje, a także szybko i zazwyczaj niezbyt dyplomatycznie wyznaje swoje uczucie. Praktycznie więc nie ma miejsca dla dwójki BARANÓW w jednym związku.

Jej żądzy nowości mezyczna spod znaku BYKA przeciwwstawia utarte przyzwyczajenia, jej nieuporządkowany i niestały myślenie — logikę i ostrożność. Na ogół więc ona czuje się skrepowana jego zasadami, on zaś traci głowę z powodu jej coraz to nowych pomysłów. Oboje chcieliby panować. Stąd konflikt woli. On żąda czegoś więcej, niż ona może mu dać, co bywa źródłem uraz i zatargów. Nie jest to idealna para. — Pan spod znaku BLIŹNIAT wymagać będzie od kobiety spod znaku BARANA cierpliwości dla swoich zmiennej nastrojów. Jej władczość budzi w nim czasem w nim odruchy buntu, a czasem bawili. On, nie znosząc rutyny, będzie zawsze poszukiwał nowości i odmiany w życiu małżeńskim.

Uczucia pana spod znaku RAKA niełatwo rozszyfrować. Poznań nie ich zabierze pani spod znaku BARANA dużo czasu. Mezyczna taki wytrwale trzyma się swoich ideałów i upodobań, marzeń, księżek, muzyki, kobieta powinna je więc podzielać RAKI są opiekuńcze w miłości, często przesadnie. Seks służy w ich przekonaniu tylko powiększeniu rodziny. Toteż panom spod znaku BARANA w postępowaniu z RAKAMI zaleca się ostrożność, bowiem wszelkie propozycje traktują oni poważnie!

Z mezyczna spod znaku LWA może pania spod znaku BARANA polać się uczucie gwałtowne i namiętne. Jednak jego władczość i żądza pochlebstw mogą być przyczyną kłopotów. Na ogół dobrani w seksie, mogą stworzyć szczęśliwy pod wszystkimi względami związek, o ile doloża jednak nieco staraj. Z jego strony powinien obojczywać takt, z jej ciągła troska o podtrzymywanie walorów kobiecych.

Mezyczna spod znaku PANNY może pani spod znaku BARANA wiele zaoferować. Jego skromność, poświęcenie i niewinność powinny być docenione. Ale do trwałego związku przyczynić się mogą jedynie wspólne wartości i zainteresowania.

Mezyczna spod znaku WAGI podobna jest zazwyczaj przeciwnie płci i wiedząc o tym wciąż szuka harmonii. Najlepiej dzieć spod znaku BARANA nie powinny szuka nowych przygód. Dlatego kobiety spod znaku BARANA nie powinny brać poważnie jego wyznań. Chyba że po dłuższym okresie prób.

W związku z mezyczna spod znaku SKORPIONA będzie pani spod znaku BARANA najtrudniej osiągnąć harmonię. Przyczyna — jego głęboko zakorzeniona zazdrość. SKORPION uważa, że to ona powinna dostosować się do jego ideałów. W seksie jego zazdrość przyczynia się do coraz bardziej wyrównanych zadań.

Z mezyczna spod znaku STRZELCA polaczy pania spod znaku BARANA aktywność i wspólne przedsięwzięcia. Jednak on tylko tak długo będzie uważał ją za swój ideał, jak długo ona będzie akceptowała jego poglądy i niezależność.

Ambitne pomysły mezyczny spod znaku KOZIOROŻCA mogą budzić jej aprobatę. Jego umiowanie niezależności zgodne jest też z jej charakterem. Jej ciepło, żywotność i siła charakteru również mogą mieć na niego duży wpływ. W pewnych wypadkach partnerzy mogą akceptować swoje wady, ale na ogół ich słabe punkty biorą górę w tym związku.

Mezyczna spod znaku WODNIKA jest typem reformatora, chciałby ulepszać świat. Potrzebuje miłości i przyjaźni, a jego partnerka musi akceptować jego często dziwacznych i ekscentrycznych przyjaźni. On nie jest zbyt zainteresowany seksem. Wiele rzeczy absorbuje go bardziej.

DZIECI spod znaku BARANA mogą okazywać wojownicze skłonności, i ped do niezależności. Są aktywne w szkole, popularne, rzadko samotne. Lubia sport i zabawę. Ich impulsywność może być strowana przez rodziców.

Dzieci spod tego znaku są krzepkie i zdrowe. Najważniejszą częścią ich ciała — głowę, powinno się szczególnie chronić. Najlepiej dzieć spod znaku BARANA rodzą się ze związku ojców znaku Lwa i Koziorożca i matek spod znaku Barana i Ryb. Rodzice dla tego znaku nieszczęśliwi pochodzą spod znaku Wagi i Skorpiona (ojcowie) oraz Koziorożca i Raka (matki).

Wybrał i przełożył:
H. RUD.

HOROSKOPUS

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

HUMOR FRANCUSKI

Gdyby strażnicy jednego z paryskich muzeów sztuki byli bardziej czujni, mogliby usłyszeć pewnej nocy następującą rozmowę, prowadzoną w sal z modernistyczną sztuką:

— Poczekaj, Jacques, nie spiesz się! Lepiej bierz tamto!
— A co tam namalowane?
— Nie ma znaczenia! Dalej, wydzielaj z ramy!
— Co za diabełstwo na tym płótnie?
— Przestań się gapić! Widzicie go, znawca sztuki! Zdejmuj prędep z haka.

— Choroba, co za ciężar! Oberwać się można!
— Jacques, Pierre, Louis — wszystko gotowe? Wzieliście co trzeba? Zwiewamy.

Uważny czytelnik już się domyśla o czym szeptali podejrzeni nocni goście galerii sztuki. Kradzieże obrazów to na Zachodzie chleb codzienny.

Jednakże w tym wypadku domyślny czytelnik okazał się bardzo niedomyślny. W opisanym przez nas wypadku półtorę setki dzieł modernistów wyrwano ze złoczonych ram i porzucono w jednej z sal — na dużym stole. Przedmiotem kradzieży okazały się wyłącznie... złocene ramy.

Paryżanka mówi do syna wybierającego się do szkoły:

— Kochany Gul, tylko ucz się dobrze! Jak przyniesiesz dobrą penzurkę to tatę ukradnie dla ciebie piękny rower!
— Nowy czy używany?
— Nowy, prosto ze sklepu!

Jaka jest różnica między dużym a małym miastem? — pytało Jeana Cocteau.

— W dużym więcej zobaczysz, w małym więcej usłyszysz!

— Co, sześć tysięcy franków za Chrystusa na krzyżu? Za żywego zapłacili tylko trzydzieści srebrników!

Marchand:

— Tak, ale tamto to była jedyna okazja!

Szepty w stodole na sianie:

— Twoje oczy to dwie pochodnie!

— W moim sercu płonie żar

Wiesniak, który wypożyczył dwójce turystom nocleg na sianie:

— O, do diabła! Jeszcze mi tu ogień zaproszą!

— Nie rozpaczaj, kochanie! — szepce umierający mąż. — Może trafi ci się jeszcze jakiś dobry człowiek i wydziesz za mąż.

— E, kto by wziął taką staruchę! Żeby tak przed dziesięć laty, to może!

— Henri, pocałuj ciocię!

— Dlaczego, maman? Przecież cały dzień byłem grzeczny!

— W jaki sposób opalił pan sobie uszy?

— Doktorze, stało się to w chwili, kiedy prasowałem spodnie. Zamiast słuchawki przytknąłem żelazko do ucha.

— A drugie ucho?

— Przecież musiałem zadzwonić po pogotowie, żeby wezwać pana doktora!

— Kto jest twoim ojcem, piękna panienko?

— Pan Bóg, sire!

— Ach, jakżebyś chciał być jego zięciem!

Henryk IV

Klient pyta w księgarni:

— Czy ma pan książkę pod tytułem: „Jak zostać bogaczem w ciągu trzech miesięcy?”

— Mam! Ale radziłbym kupić równocześnie inne dzieło — pod tytułem: „Kodeks karny”.

Pewien sędziownik przysłuchiwał się egzaminowi, jakiemu jego żona poddawała młodą kandydatkę na służącą: A to umiesz?, a tamto potrafisz?

Rozsierdzony zapytał:

— A p...nie się umiesz?

— Proszę pana, niech mi pan tylko pokaże jak się to robi, a w mig się nauczę!

Reaux

Na koncercie:

— Poznajesz? To Beethoven!

— Nie zauważyłam, ale poczekam aż się do nas odwróci.

Dwa wejścia do raju. Przed jednym wisiał tablica — „Wstęp tylko dla mężczyzn, którzy długie lata cierpieli pod małżeńskim pantoflem”. Przed drugim wejściem, gdzie wisiał napis — „Tylko dla mężczyzn, którzy nie cierpieli pod małżeńskim pantoflem”. Przy tym drugim wejściu stał samotny staruszek. Święty Piotr pyta go:

— Po co tu stoisz?

— Nie wiem — odpowiada starowina — żona kazała stać tu stoję!

Małgorzata Valois nosiła tiurniurę z powszywanymi kieszeniami. W każdej nosiła zabalsamowane serce kochanka.

Salignac oświadczył, że wypije dla niej truciźnę. Dała mu... środek na przeczyszczenie, zamknąwszy go w pomieszczeniu gdzie miał umierać.

Tellemant